Nr. 48 (1248). Warszawa, 13 (26) Listopada 1904 r. **Rok XXIV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Sejm galicyjski.

Dziwne a zarazem obrzydliwe zjawisko przedstawiała ostatnia sesya sejmu galicyjskiego. Trwała ona sześć tygodni, ale jeśli spytamy o wyniki pracy „przedstawicieli“ ludności galicyjskiej, to będziemy musieli przyznać, że równają się one zeru. I nie krótkość czasu trwania sesyi, jak chcą wmówić w łatwowiernych organa prasy stańczykowsko-konserwatywnej i demokratyczno-stańczykowskiej, stała na przeszkodzie zrobieniu czegoś. Bynajmniej, gdyż przez całe trzy tygodnie sejm nic a nic nie robił. Odsyłania do najrozmaitszych komisyj różnych wniosków po „pierwszem czytaniu“ niepodobna nazwać pracą, gdyż one sprowadzają się do sakramentalnego „wezwania rządu,“ aby to a to uczynił. Właściwie mówiąc takie wnioski powinny być przedmiotem zabiegów reprezentacyi galicyjskiej w Wiedniu, bo w sejmie są najzwyklejszą zabawką bezużyteczną, którą różni „wnioskodawcy“ następnie wyzyskują dla zareklamowania się wobec łatwowiernych wyborców. W końcu trzeciego tygodnia, zmarnowanego odsyłaniem do komisyi różnych wniosków w rodzaju takich, jak zakładanie świniom kolczyków w inny sposób, niż dotychczas, wywożenie choinek w czasie Bożego Narodzenia, sam pan marszałek sejmu hr. Stanisław Badeni nie mógł się powstrzymać od zaznaczenia smutnego faktu tracenie czasu na takie rzeczy. Tę uwagę zrobił przy wniosku *setnym*, ale nie zdołał nią powstrzymać dalszych.

Na pilność panów posłów rzuca jaskrawe światło i to, że aż 11 posiedzeń musiano zamknąć z powodu braku kompletu. A przez parę pierwszych tygodni trwały one zaledwie 2—3 godzin. Tego wyrazu „posiedzenia“ nie należy też brać zbyt dosłownie, gdyż większość posłów albo wcale do sejmu nie przychodziła, albo też znajdowała się w bufecie. Urzędowe sprawozdanie o posiedzeniu z dn. 23 października mówi w ten w sposób: „Przed przystąpieniem do debaty szkolnej wezwał marszałek krajowy posłów dzwonkiem do sali obrad oraz zwrócił się do sekretarza, posła Urbańskiego, aby zaprosił posłów do sali. Po krótkiej pauzie weszło kilku posłów.“ Reszta oczywiście wolała zostać w bufecie.

Jaka praca taki plon. Uchwalono ustawę o włościach rentowych, mającą na celu stworzenie „zdrowej,“ średniej własności chłopskiej. Jednakże na podstawie dotychczasowej praktyki trudno jej wróżyć powodzenia, bo niema danych, aby została w życie wcielona. Przecież sejm galicyjski uchwalił w swoim czasie komasacyę drobnych działków chłopskich. A oto — po dziesięciu latach została ona na podstawie tego prawa zaledwie w pięciu gminach podjęta. To samo dzieje się i z pośrednictwem pracy. Po za ustawą o włościach rentowych uchwalono celibat dla nauczycielek — jedyne prawo w swoim rodzaju. Jest to fakt nie do uwierzenia, że sejm galicyjski formalnie zabronił nauczycielkom wychodzić za mąż bez pozwolenia władzy.

Sprawy szkolne wogóle stanowiły punkt ciężkości ostatniej sesyi. Uchwalono wprowadzenie do Rady szkolnej rabina, jako przedstawiciela Żydów, co wywołało niesłychany paroksyzm wściekłości wśród klerykałów. Biskup przemyski ks. Pelczar wystąpił z namiętną mową, będącą właściwie programem szkolnym tych panów. Żądał on, aby w szkole odbywały się co rok rekolekcye, aby młodzież cztery razy do roku przystępowała do spowiedzi, aby uroczyście obchodziła rocznicę papieża i święto patrona, aby była egzaminowana z religii przy maturze itd. W celu „umoralnienia“ młodzieży zaproponował cały szereg środków kościelno-policyjnych i policyjno-świeckich. I nikt przeciwko tej mowie nie zaprotestował! Natomiast uchwalono wciąganie młodzieży do kongregacyj maryańskich — instytucyi wzajemnego szpiegowania się uczniów.

Nie brakowało i objawów walki narodowościowej. Mianowicie poseł rusiński Oleśnicki, zprowokowany przez narodowego demokratę Głąbińskiego, wygłosił ostrą mowę, niepozbawioną akcentów szowinistycznych. Po za tem ostatnia serya poczyniła parę ustępstw Rusinom: poparła wniosek o założenie gimnazyum rusińskiego w Stanisławowie i umożliwiła wprowadzenie obowiązkowej nauki drugiego języka krajowego w szkołach średnich. Tę ostatnią koncesyę jednak Rusini przyjęli, jako nowy „zamach“, gdyż zdaniem ich zmierza ona do liczebnego spotęgowania polskiego stanu urzędniczego na Rusi.

Jeśli porównamy działalność sejmu galicyjskiego z działalnością malutkiego sejmu najbardziej dotychczas zacofanego kraju— Bukowiny, to zestawienie wypadnie stanowczo na niekorzyść pierwszego. Kiedy sejm galicyjski odrzucał oba projekty reformy wyborczej, w Czerniowcach uchwalono utworzyć IV kuryę z powszechnem prawem wyborczem, zniesiono pośredniość i tajność w kuryi włościańskiej. Dalej, Bukowina może się pochwalić takiemi zdobyczami, jak połączenie obszarów dworskich z gminami, zrównanie płac nauczycieli z płacami urzędniczemi i t. d.

Smutne to dla nas, niestety. *Daleki.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nic jeszcze na mukdeńskim teatrze wojny—prócz rozstawiania sił, które jedna strona przed drugą, a obie przed ciekawością świata całego ukrywają. Na przodach wywiady z obu stron, a spędzanie Japończyków z pomniejszych stanowisk, donoszone przez gen. Kuropatkina w nadzwyczaj szczegółowych, maleńkim starciom dużo słów poświęcających buletynach. Gen. Miszczence, znanemu już z nad Jalu, wódz naczelny przyobiecał bliską chwilę popisu: zdawałoby się więc, że myśli o działaniu zaczepnem; dlaczego myśleć o niem muszą i Japończycy, powiedziano już przeszłego tygodnia. Odtrącając straty pod P. Artura bardzo ciężkie, siły ich pomiędzy Tai-tse-ho (Liao-jang) i Sza-ho oznaczyć można bez wielkiego błędu na 300,000; gen. Kuropatkin, pomimo ciężkich strat przy ciągłym dowozie i powrocie lżej rannych ze szpitalów rozporządza dziś już zapewne siłą znaczniejszą: nieby zatem nie było dziwnego, gdyby gen. Miszczence lada dzień dał sposobność do odznaczenia się. Japończycy, z wiarą łącząc przezorność, ustalają połączenie między Niuczangiem a Liao-jangiem, kładą drugi tor, a nad Tai-tse-ho obwarowali się jeszcze silniej, niż przed pamiętnymi dniami z końca sierpnia i początku września Rosyanie. Koleje na Korei budują usilnie; do Seulu z Fusanu już mają gotową, do Gensanu zdać się muszą na daleką jeszcze przyszłość. W tej wojnie z tej drogi korzystać nie będą. Posłanie do pomienionej miejscowości załogi oddawna już było nakazane. Spostrzeżenie ogólne z widowni wojennej: straże przednie Japończyków nie są dość przezorne i od napaści dłużej zabezpieczone.

Pod Portem Artura stan jednakowy: Japończycy się podkopują, podsuwają: oblężeni niszczą lub usiłują niszczyć kretowiska podziemne, a opierają się działaniom i ruchom na powierzchni ziemi. Nic ważniejszego, dotykalnego się nie stało. Gen. Stessel wysłał cztery torpedowce do Czyfu z ważnemi bardzo depeszami; z tych jeden, „Rastoropnyj," wpłynawszy do portu i zapewne oddawszy depesze, co może więcej warte od samego statku, gdy neutralności dłużej już gwałcić nie mógł, poszedł na dno, rozsadzony przez własnego dowódcę. Załoga pozostała; Japończycy wszakże, stosownie do praw morskich, nie pozwalają jej odpłynąć i żądają wydania. Dowódca amerykański, wziąwszy przedtem w opiekę torpedowiec, wziął potem jego załogę i odgraża się, że nie da Japończykom wpłynąć do Portu. Trzy pozostałe torpedowce, jeśli nie wróciły, skąd wyszły, bardzo być może, iż przyczaiły się na pełnem morzu, aby zaskoczyć który z wielkich okrętów japońskich. Przedarcie się ich na morze samo przez się już było przewagą nad Japończykami, niedość czujnymi na linii blokady.

Komisya śledcza zbierze się w Paryżu, ale dopiero po ukończeniu się śledztwa angielskiego w Hull. Wejdą do niej sami admirałowie: rosyjski, angielski, francuski i amerykański. Według pogłoski Fr. Józef ma wskazać przewodniczącego. Dopiero d. 18 b. m. pomimo wywnętrzenia się p. Lansdowne'a już na rybce u lorda-majora w dniu 9 b. m. stanęła ugoda ostateczna w Petersburgu. Komisya ma zbadać fakt, określić odpowiedzialność i dać „naganę" (*blame*). Nigdy nie marzył nawet lord o „winie" i „karze." Wytworzyła je samowolnie Agencya telegraficzna rosyjska, sprowadzając przez to 10-dniowe opóźnienie. Na miejsce Hansena, który się cofnął, staje niejaki Kavij, Holender, telegrafista bez drutu na „Kamczatce," który jeszcze przed wypadkiem pod Dogger Banks widział, na własne oczy, nietylko kilka podejrzanych torpedowców, ale nawet wypuszczoną torpedę, która wszakże utonęła w morzu. Co się stało z torpedowcami telegrafista nie wie i wiedzieć nie ma obowiązku.

W Europie bardzo głośno. Po spoliczkowaniu Andrego p. Combes nie mógł już ukryć faktu denuncyacyj regulujących awanse w armii, nie mógł też metody takiej uznać za dobrą i mimo zasług ministra, mimo jego republikańskiego ducha, musiał się z nim rozstać. Oczywiście, liczył się tu z wolą swej większości. Na miejsce spoliczkowanego wszedł jeszcze nietknięty, świeży zupełnie p. Berteaux, obywatel w todze, ale jako komisarz parlamentarny specyalista w wojskowości; ma przytem za sobą 30 milionów majątku, a to zawsze, i w lepszej rzeczypospolitej od francuskiej, zaimponować by musiało. Nowy minister podobno poodprawiał wywiadowców tajemnych, a sam rząd ogłosił zasadę używania do wywiadów o oficerach czy urzędnikach samych tylko ich zwierzchników — zasada chwalebna, zwłaszcza w rzeczypospolitej.

Burzliwe oklaski rychło zamieniły się dla p. Tiszy w sejmie węgierskim w wycia sromotne. Kiedy d. 18 b. m. większość uchwaliła dawniej już wniesiony regulamin Daniela, niesłychana stała się karczma: prezesa Perczela ledwo nie zabito kałamarzami; Tiszę nazajutrz, po odroczeniu Izby do 9 grudnia, obrzucono błotem, wygwizdano — zachodzono mu drogę, jak wisielcowi, który się urwał z postronka. Prawdopodobnie p. Tisza nie doczeka dnia otwarcia sejmu na swem prezesostwie: opuszczają go nawet rządowcy; wszakże większość jeszcze stoi.

Nie lepiej powiodło się p. Koerberowi d. 17 b. m., a cesarzowi austryackiemu nazajutrz w wiedeńskiej Izbie deputowanych. Wszechniemcy szarpali ministra za Inspruk, a gdy im się odcinał, tylko z Wolffem miał powodzenie: łotr stulił pysk. Długą mowę, usprawiedliwiającą kursa prawne włoskie, Niemcy przyjęli drwinami. Ale Koerber mimo to wszystko może się jeszcze nazwać szczęśliwym: dopiero dnia 18 b. m. Franciszek Józef miał poznać na sobie całą moc słowa ludzkiego, wypowiedzianego publicznie a niepowściąganego niczem. Poseł Pernerstorfer wziął całą dynastyę na cel. Ta dynastya to nieszczęście Austryi: mężczyźni klerykały, kobiety dewotki — wszyscy marni, a już o ich życiu domowem poseł mówić nie chce. Ale dość jest głośno nie chcieć, aby wszystko powiedzieć. Zaraz wywołał ktoś z grobu niepamięci arcyks. Ottona. Nadzwyczaj to rzadki sposób korzystania z wolności słowa i praw przedstawiciela ludu, a im rzadszy, tem bardziej zajmujący.

Dał też z siebie widowisko król belgijski — król od siedmiu boleści. Odezwał się ustnie i piśmiennie z naganą polityki swych (katolickich) ministrów. Niesłychana rzecz w rocznikach politycznych. Abdykacya tego kochanka Cleo de Merode jest konieczną.

Z Dalekiego Wschodu.

Militaryzacya Chin.

Ideałem Lao-tse, największego filozofa chińskiego było państwo małe, bez wojska, z ludnością liczną, życie i ziemię kochającą, nieposiadającą literatury, tak gęsto osiadłą, by z gminy do gminy można było słyszeć pianie koguta, lecz unikającą skupiania się — centralizacyi. Chiny obecnie, tak jak przed 25 wiekami, przedstawiają żywe wcielenie tego ideału.

ERNEST REINHART.

*

O SŁABOŚCI, BOJAŹNI I CELU.

Przyczynek do poznania istoty ludzkiej.

(Ciąg dalszy).

Radość z cudzego nieszczęścia i litość. Równość wszystkich ludzi jest życzeniem człowieka najtrwożliwszego. Szczęście, zasługa, wielkość innego są dlań udręczeniem; dlatego chętnie widzi go spadającego do swego poziomu. Ale głębin nie znosi on tak samo, jak wyżyn, więc nie lubi nieszczęśliwych, gdyż ci są przykładem i groźbą. Jednocześnie cieszy się on z cudzego nieszczęścia i lituje nad niem. Ale litość jest odmianą bojaźni — strachem gatunku. Grecy znali dobrze tę tożsamość i w czasach rozkwitu swej kultury mieli zwyczaj uwalniać się „od takich namiętności" przez ćwiczenie w sztuce.

Odczuwanie natury. Tylko pozbawionemu życzeń rozświetla natura swoje oblicze. Obdarza ona króla, nie żebraka. Człowiekowi celu obcą jest pokora wobec potężnie miłej prawidłowości świata organicznego. Tajemnica kiełkujących liści, piękność zwierząt, lotność chmur, blask światła jest dla niego czczem słowem. Od łąki żąda on bukietów, od morza skarbów, od miast cudzoziemskich rzadkości, które możnaby przywieść w kieszeni lub w worku. To, co nazywa godnem widzenia albo zapamiętania, niezwykłe lub przesadne, chce posiąść, zużytkować. Jemu natura wtedy tylko dostarcza doświadczeń życiowych, kiedy go wzbogaca. Nawet na spokojnych, ustronnych ścieżynach i drogach rozmyślania tak go prześladuje świadomość celu, że on swym nogom przepisuje dowolne prawa kroczenia i rzeczy obojętne bądź z przesądnego, bądź z ciekawego instynktu celowości odsuwa lub w inny sposób usiłuje poskromić.

Niewola. Każda niewola jest dobrowolna, gdyż istoty jej nie stanowi potęga uciskającego, lub inna nieunikniona konieczność, jak choroba, starość, śmierć, tylko zawsze odnawiająca się powolna uległość uciśnionego, która z bojaźni wypływa, ze strachu przed pozornie gorszem, przed cierpieniami, które prawie zawsze są cierpieniami życia i ciała.

Dlatego niewola możliwa jest tam tylko, gdzie strach panuje; ona jest nieodzowną potrzebą człowieka bojaźliwego i niejako wypełnieniem jego najgłębszego pożądania. Kto się nie boi ten nie praktykuje, ani nie znosi niewoli. „Raczej umrzeć, niż być niewolnikiem," jest hasłem ludzi mocnych.

Zapewnie i mocni znają zależność, nie jest ona jednak służalstwem bojaźni, lecz powolnością wierności. Tu szacunek i skłonność, przekonanie i obowiązek zadzierzgają szlachetny stosunek, który nie jest przyznaniem praw jednej tylko stronie.

Obie cnoty kardynalne. Cnotą człowieka celu jest miłosierdzie; cnotą człowieka wolnego od celu — odwaga, której odbicie nazywa się honorem.

Miłosierdzie człowieka słabego tak dalece jest niechętnem, tak różnem od prawdziwej dobroci serca, że można je nazwać cnotą wbrew woli. Przeto odkrycie i wprowadzenie go do wszystkich dziedzin życia było posłannictwem większem, niż wynalazek sztuki, o której będzie mowa później. Tak, może to posłannictwo jest usprawiedliwieniem ludzi słabych w etycznem gospodarstwie świata.

. . . .

Piętno Kaina.

Poeci probowali usprawiedliwiać Kaina, że niby dumniejszy brat zabił w szlachetnem oburzeniu miłego Bogu sługę. — Mylą się; Kain przed swym czynem był zazdrośnikiem, po nim kłamcą, a jego zbrodnia naprzód obmyślonym podstępem, spokrewnionym ze strachem i zdradą—był skryto-

Nie są państwem, ani nawet narodem w zachodniem znaczeniu tego słowa, gdyż nie posiadają ani narodowej, ani językowej jedności. Jedności administracyjnej pragnie tylko dynastya, monetarna nie istnieje, sądownicza naruszana jest codziennie, za wojskową nie ubiegano się nigdy. Wobec tego, gdyby nie jedność cywilizacyjna, Europejczyk nawet najpowierzchowniej patrzący, nie uwierzyłby nigdy w istnienie zorganizowanego państwa chińskiego.

Chińczyk nie zna ojczyzny, dla niego istnieją tylko jego strony rodzinne; nie rozumie zagadnień politycznych, obchodzą go tylko sprawy ekonomiczne; nie zna narodu, tylko rodzinę; nie ma ani państwa, ani panującego, tylko towarzystwo i zarządzających. Nie uważa się on za poddanego księcia lub niewolnika państwa. Panujący jest jego urzędnikiem, a państwo rzeczą zbytku. Tczu-hsi, filozof XII stulecia, autor komentarza do dzieł Konfucyusza, powiada, objaśniając „Ta-hio,“ traktujące o sztuce rządzenia: „Książe, niewypełniający swych obowiązków zarządzającego, nie może żądać posłuszeństwa i poszanowania od swego ludu, winien być jak najprędzej usunięty, a na jego miejsce inny wprowadzony, gdyż dobro ogółu nie może ucierpieć dla dobra jednostki.“

Kwestya społeczna, kwestya dobrobytu tak bardzo zawsze górowała nad wszystkiem w Chinach, że idea państwa nie znalazła tam przystępu do umysłowości mas. Temu Chińczycy zawdzięczają swą odrębność społeczną i pogardę Zachodu dla siebie, jako dla niezdolnych do łączności politycznej i wynikającej stąd odporności na zamachy Europy upaństwowionej.

Przyszłość Chin zamyka się cała w pytaniu, czy ta niezdolność trwać będzie, a jeśli zniknie, to jakie stanowisko zajmą one: obronne, czy zaczepne wobec eksplotacyi obcych, cisnących się u ich progu?

Wraca więc znowu widmo, „niebezpieczeństwa żółtego“, lecz cokolwiek zmienione. Ci którzy nam grożą zjednoczeniem ludów żółtych, w celu najazdu i zalania ziem, zamieszkanych przez białych, naigrają się jednak z marzycieli, wierzących w przyszłe Stany Zjednoczone Europy.... Panmongolizm japoński jest ważnym zapewne, lecz krótkotrwałym epizodem w rozwoju świata azyatyckiego, którego główną siłą kształtującą będą Chiny w swych stosunkach ekonomicznych. Nic śmieszniejszego jak przypuszczenie, że ta garstka Japończyków mogłaby podburzyć 600 milionów żółtych przeciw Europie. Między Japończykiem a Chińczykiem istnieje więcej różnic rasowych, niż między Francuzem a Hindusem, zaś podobieństwo językowe jest takie same jak z angielskim lub włoskim. Jeśli Chiny dopuściły do siebie najazd umysłowości japońskiej, to tylko wskutek odmowy Europy, do której wielokrotnie zwracały się o pomoc w szerzeniu zapobiegawczej oświaty publicznej — myśmy jednak woleli skierować przeciw nim nasze armaty, jako dosadniejszy wykładnik cywilizacyi. Czy Chiny dadzą się wciągnąć do obecnie toczącej się walki i na czyją korzyść, jest rzeczą drugorzędnego znaczenia. Przedewszystkiem wiedzieć trzeba, czy z taką, jaką dziś posiadają, organizacyą mogą stawić opór. Jedności narodowej, zorganizowanej armii, państwa jednolitego, fortyfikacyj nie posiadają, gdyby je miały, byłyby obok Stanów Zjednoczonych największą, wolę swą świata dyktującą potęgą. Na terytoryum chińskiem widzimy natomiast zbiorowisko samodzielnych, zaledwie federacyjnie złączonych organizacyj administracyjnych. Decentralizacya najzupełniejsza, autonomia niemal bezwzględna każdej prowincyi, departamentu, kantonu, gminy nieledwie, gdzie tylko interesy miejscowe brane są pod uwagę — czynią rząd całkiem bezwładnym. W każdej sprawie zależy on od dobrej woli wicekrólów, których może zmusić do uległości tylko groźbą wyzucia z władzy. Gdzie każda wieś niezależnie od rządu ustanawia swój własny budżet, a praktyczność i zdrowy rozsądek mieszkańców nie chcą zrozumieć potrzeby wydatkowania na wielkie i kosztowne przedsiewzięcie polityczne lub wojenne, tam musi istnieć ta, dla nas tak niezrozumiała, „bezsilność rządu chińskiego“ i ciągła pustka w skarbie, który przy 400 milionach ludności posiada budżet zaledwie 250 milionowy. Wobec tego najazd nie znalazłby tu oporu siły narodowej, obrony narodowej. Sami Chińczycy zdają sobie sprawę z tego. „Wszystko nam jedno — mówią oni — kto będzie nami rządził, cesarz żółty, czy biały, to wyłącznie obchodzi urzędników, nas zaś, żeby nie wtrącał się do naszych interesów i nie pozwalał nas okradać.“ W ich pojęciu wojsko jest „sprawą prywatną polityków“, a więc o dostarczeniu środków na jego utrzymanie słyszeć nie chcą. To też wszyscy wielkorządcy prowincyj siły, któremi rozporządzają, muszą opłacać ze swego budżetu, a więc przez oszczędność, nie przewidując natychmiastowej potrzeby, często zawartość swego arsenału i liczebność swych pułków sprowadzają do minimum. A nikt, nawet cesarz nie może ich zmusić, żeby postępowali inaczej. Wojny 1894 i 1900 nie przyniosły żadnej zmiany w tym względzie, konieczność jej pojmuje tylko dwór i niewielu wielkorządców, ale wysiłki ich nie dały dotąd wyników zadawalających.

Istnieją obecnie w Chinach trzy armie zmodernizowane: Yuan-czikaï w Czili, Ueikuang-tao w Nankinie i Czang-tezi-tonga w U-czeu. Ale każdy z tych wielkorządców postępuje jak chce, bez najmniejszego względu na potrzeby innych; pomocy jeden drugiemu pod żadną postacią nie da, szczególniej, kiedy idzie o pieniądze, których żaden nie ma dosyć dla utrzymania wojska i musi liczyć a przynajmniej starać się o jałmużnę kolegów. A ci koledzy, to są jednocześnie współzawodnicy, zazdrosnem okiem patrzący na zabiegi przeciwnika i niechętni jego powodzeniu. Współdziałanie rządu uniemożliwia brak sympatyi i poparcia mas dla sprawy, której nie rozumieją, bo niebezpieczeństwa dla swych interesów nie widzą.

Wobec tej obojętności ludu, bezsilności dynastyi i mandarynów, w których interesie leży utrzymanie *status quo*, przyszłość Chin, jako całości politycznej, ratować tylko może albo Chińczyk, który się przejął europejskiem ideami państwowemi lub Europejczyk, który się zchińszczył do tego stopnia aby ze zrozumieniem duszy tego ludu módz podjąć i przeprowadzić pomyślnie reorganizacyę wewnętrzną całego państwa na zasadach europejskich, bez naruszenia podstaw jego życia społecznego i ekomicznego, w których leży potęga przyszłości tego narodu.

Taki człowiek znalazł się w sir Robercie Hart naczelniku zarządu celnego w Chinach, najlepszym znawcy tego państwa, Angliku zchińszczonym, który poznawszy głąb umysłowości tego ludu, powziął wspaniały pomysł nadania społeczeństwu chińskiemu politycznych form Zachodu. W marcu roku bieżącego przedstawił on swój projekt rządowi w Pekinie, a rząd już w kwietniu pozwolił niektórym urzędnikom zapoznać się z nim częściowo. Dla zachowania swego stanowiska pomiędzy potęgami pierwszego rzędu — mówi on — Chiny powin-

---

bójcą. Za to został ukarany tem, co go do grzechu przywiodło: Klątwą strachu. „Tułaczem i biegunem będziesz na ziemi.“

Jest on więc praojcem udręczonych bojaźnią, i do dnia dzisiejszego jego dzieci noszą piętno klątwy bożej, które im Jahwe na czole wypalił. Znamię Kaina, to znamię strachu. Tora o tym znaku nic powiedzieć nie umie i rabini milczą, dla tego jednak, kto probuje odczytywać pismo rysów ludzkich występuje on płomieniem, można go pokazać i opisać.

Co to jest piętno Kaina? Nie na czole, lecz tuż pod niem należy go szukać. Palcami dotknął Bóg miejsca pomiędzy oczami i nacisnął je, tak że nos śmiałego łuku nie zakreśla od czoła, oczy rozdzielając, lecz, żałośliwie zwisnąwszy, utkwił korzeniem między liniami, łączącemi oba kąty oczne. Z lwiej osady nosa, szeroko i ciężko wystającej z czoła, zrobił się cienki, niewyraźny, wpadnięty nos małpy, który trwożliwie, nie wiedzieć jak, wysuwa się w oddaleniu od powierzchni czoła, z sąsiedztwa gruczołów łzowych.

Artyści odczuli to dawno. Brutus Michała Anioła i wszystkie głowy bohaterów posiadają linię czoła lwiego, wszelkie karykatury i maski pospolitszych natur ludzkich — typ małpy lub murzyna.

Jeśli to więc jest prawdą, że istnieje jakiś widoczny rys fizyognomistyczny, który pozwala odróżnić człowieka bojaźliwego i celowego od nieustraszonego i niecelowego, to powinny się wyjaśnić niezliczone kwestye pochodzenia i przynależytości oraz rozwiązać niejedna zagadka zanikłych narodów.

Nasuwa się tu tylko jedna — niedawno wznowiona — kwestya sporna, iście po grecku, tylko ogólnie potrącona. Ich bogowie i bohaterowie dostarczyli artystom heleńskim czystych rysów śmiałego szlachectwa. Stare, wyidealizowane wizerunki ludzkie wykazują także podobieństwo do form boskich. Kiedy jednak z biegiem czasu zaczęto coraz częściej domagać się od artysty podobieństwa w portrecie, naówczas w naturalistych obrazach ujawniło się piętno Kaina, tak że zdawaćby się mogło, iż większość ludu greckiego posiadała cechy człowieka trwożliwego.

Jakie jest pochodzenie rysów boskich? Czy one były wspomnieniem zaginionego, przez zmieszanie pochłoniętego ludu urody olimpijskiej?

Prócz tego, satyry i pokrewne im istoty z lasów i pól były od najdawniejszych czasów przedstawiane z piętnem na czole. Cóż to znaczy? Czyżby obok tego rodu boskiego góry i zarośla zaludniali ludzie strachu, na podobieństwo zwierząt ukształtowani? I czyżby ci ludzie - satyry wynaleźć mieli flet i sztukę muzyczną? Czy lubili oni tańce o zorzy wieczornej, jak nasi karzełkowie północni, i czy byli pierwsi, którym sztuki „tragiczne“ sprawiały uciechę? CzyMarsyasz był współzawodnikiem Apollina? a może nawet jego nauczycielem?

. . . .

Mnie się zdaje, że odgadująca mądrość ludu prawo fizyognomistyki, którem się tu zajmujemy, od dawna już przeczuła. Mówi się o ludziach „zadzierających nosa“ w tem znaczeniu, że to szczególne słowo określa takich, którzy głowę trzymają wyniośle przechyloną, wskutek czego nos staje w najwyższym jej punkcie. Sądzę więc, że w ustach ludu ten nos, wysoko wzniesiony, oznacza ludzi, nieznających strachu, i w tem rozumieniu wyrażenie przyjmuję.

Wysokonose oblicza były właściwością starych rodów szlacheckich zachodu; wśród poddańczej, służącej i pracującej warstwy napotykają się rzadko. Jeszcze rzadziej może u ludów Wschodu i Południa, u żółtych i czarnych.

Niepodobna tu przemilczeć jednej nierozwiązanej zagadki: wśród większości kobiet całego świata, bez względu na rodowód i pochodzenie, przeważa typ małonosy, który i dzieci wykazują w okresie pierwszego rozwoju. Czy tu się też kryje analogia prawa biogenetycznego? Niejeden mógłby dopatrzyć się w tym paradoksie poparcia dla niewesołej nauki o minionem

ny postarać się o dwie rzeczy: naprzód usunąć wszelką przyczynę mieszania się obecnych rządów do spraw państwa chińskiego, a następnie stworzyć dla siebie środki obrony przeciw napaści brutalnej.

Przyczyną wtrącania się Zachodu do wewnętrznych interesów chińskich jest wyłącznie: bezwładność rządu centralnego, niezależność wysokich urzędników prowincyonalnych tak w rzeczach budżetu, jak sądownictwa — słowem zupełny brak kontroli władz głównych nad tem, co dla stosunków z cudzoziemcami szczególniej musi się opierać na powadze państwa, a nie osób prywatnych. Ażeby temu zaradzić trzeba całkowicie przekształcić wewnętrzną administracyę cesarstwa; trzeba urzędników zrobić odpowiedzialnymi przed władzą centralną i zaopatrzyć ich w takie uposażenie, żeby wszelkie próby zdobywania dochodów pobocznych kosztem ludności można było traktować, jako przestępstwo. Szkoły publiczne powinny być subwencyonowane przez państwo, w zależności od niego i pod jego kontrolą, w celu nadania im kierunku, ułatwiającego stopniowe zaznajomienie się z wiedzą praktyczną zachodu. Należy rozwinąć i udoskonalić sposoby komunikacyi, stworzyć silną, wyćwiczoną armię stałą na lądzie i znaczną flotę na morzu.

Środków niezbędnych dla przeprowadzenia tych reform powinien dostarczyć podatek ogólny, wpłacany wyłącznie do skarbu państwa; takim podatkiem w Chinach można obłożyć tylko ziemię. Organizacya podatku gruntowego mogłaby posłużyć jednocześnie do zorganizowania administracyi politycznej i sądowej przez skupienie w rękach tych samych urzędników różnych gałęzi działalności rządowej. Podług obliczenia Li-hong-czanga dwie trzecie całego obszaru Chin możnaby poddać opodatkowaniu, sir Robert Hart przyjmuje tylko połowę, tj. 400 milionów meu*), z których opłata przyniosłaby skarbowi 400 milionów taelów tj. 1240 milionów franków rocznie, nie obciążając ludności. Obecnie do rozporządzenia nie posiada skarb więcej nad 280 milionów franków rocznie, które czerpie z ceł morskich, monopolu solnego itp., a zużytkowywa na amortyzacyę długów zewnętrznych, całość więc nowego dochodu mógłby obrócić na zaspokojenie potrzeb wewnętrznych: opłacanie administracyi w tym stopniu by zabezpieczyć ludność od wyzysku przez urzędników, utrzymanie kosztem 160 mil. rocznie stałej armii wyborowej, złożonej z czterech korpusów po 50,000 ludzi w Tientsinie, Nankinie, U-czeu i Kantonie. Pięcioletnia służba wojskowa z rezerwą dałaby państwu przeszło milionową armię w przeciągu lat 20. Flota powinna mieć trzy wielkie eskadry, których wystawienie zajęłoby 10 lat czasu z wydatkiem 130 mil. franków rocznie; trzy szkoły morskie dla przygotowania zdolnych marynarzy. Po za tem zostawałoby jeszcze około 400 mil. rocznie na oświatę, poczty, telegraf, koleje żelazne, kanalizacyę, służbę zdrowie itp.

Sir Robert Hart umiał zainteresować swym projektem w równej mierze dynastyę, rząd centralnych, większość urzędników i cały prawie lud — zjednać dla niego te wszystkie żywioły, które w dotychczasowej sprzeczności swych interesów przez tyle wieków walczyły między sobą podstępem i gwałtem; w dodatku dla przemysłu angielskiego stworzył nowe widoki znacznych i długotrwałych korzyści.

Dwór pekiński zarządził już podobno olbrzymie wywiady w sprawie opłat, obciążających obecnie własność ziemską, zanim weźmie się do samego dzieła reformy.

Wątpiące o nim sądy wyrażają raczej niepokój, niż krytykę. Nikt nie zaprzecza pomysłowi wielkości, a metodzie projektodawcy najwyższej zręczności.

*) meu=700 metrom kwadratowym.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Zależność od Chin wyrażała się, w „przyznaniu" (inwestytury), o jakie obowiązany był prosić każdy z królów korejskich przy wstąpieniu na tron, oraz w corocznem poselstwie z daniną, składającą się z wyrobów i płodów krajowych; w zamian dwór korejski otrzymywał *kalendarz chiński* na znak zależności i opieki. Prócz tego królowie korejscy obowiązani byli zawiadamiać niezwłocznie cesarza chińskiego o wszelkich ważniejszych wypadkach i zmianach, jakie zaszły w ich państwie. Monarchowie korejscy mieli jednak prawo nadawać latom swego panowania osobny tytuł „niónho", oraz sami za życia używali tytułu „cziu-san-cziónha", a po zgonie otrzymywali od cesarza chińskiego „tytuł pośmiertny" (si-ho) [1]). Mieli prawo używać żółtego koloru, korony, miecza, trójzębu i wizerunku smoka, jako regalii.

Przewrót wywołany temi reformami, wprowadzającemi ukształcenie, jako czynnik, równający wszystkie stany, nadzieja polepszenia doli, obudzona w ludzie prostym, pewne złagodzenie okrutnego systemu karnego, ustanowienie sprawiedliwszych podatków... obudziły ruch w całym kraju. Rozpadł się on na dwa stronnictwa: zwolenników starego porządku i obalonej dynastyi, oraz zwolenników reform i panującego. Panowanie syna i wnuka I-siónga upłynęły w ciągłych walkach tych dwu stronnictw i tłumieniu powstań [2]). W tym czasie (1443 r.). Japonia w osobie księcia wyspy Cuszima uzyskuje prawo założenia stałej faktoryi handlowej w Fuzanie, sadowi się więc przezornie nietylko na wyspach, ale i na obu brzegach cieśniny korejskiej. Do końca XVI w. w ciągu dwustu lat panowało 19 królów i chociaż rządy większości mąciły wewnętrzne niesnaski jan-baniów, dworskie intrygi i zamachy stanu, lecz za to Korea cieszyła się trwałym pokojem na zewnątrz, kwitły nauki i literatura, podtrzymywane przez monarchów. W 1451 roku rozpoczęto słynne wydawnictwo „Jö-czi-son-nam" (Cudowne przedstawienie całości państwa), uczony Siń-sink-dzu opracował obszerne dzieło historyczne „Kuk-dzo-bo-gam"; w 1485 r. ukazała się praca historyczna Sö-gö-dzona pod tytułem „Ton-guk ton-gam" oraz „Tä-miönjol" (Statut dynastyi Miń), który wnikł w osnowę prawodawstwa korejskiego. Wreszcie traktaty moralne w stylu Konfucyusza: „Sam-gań-hän-sil-do" (1434 r.) i „I-riunhan sil-do" (1518 r.) Ale wszystkie te prace były mało oryginalne, naśladowały ciężkie, drobiazgowe encyklopedye chińskie lub wypracowania Konfucyusza i Mendzy.

[1]) Taki tytuł obowiązkowo składał się z 4 hieroglifów: dwa były tytułem, a dwa imieniem. Drugi hieroglif z rzędu zawsze musiał być albo „Dzo" (założyciel), które było dawniejszą nazwą, używaną przez królów wojowniczych z panowaniem burzliwem, albo „dzon", które dostawali królowie, panujący w czasach spokojnych.

[2]) I-siön-ge na 11 lat przed swym zgonem ustąpił rządy państwa synowi swemu „Czion-dzo Kon-Czión"; otrzymał zaszczytne si-ho" (miano pośmiertne) „Thä-dzo (wielki założyciel).

---

zmieszaniu się żywiołu męzkiego i żeńskiego wszystkich osobników i ras, a także utrzymywać, że pierwotnie mężczyzna był wysoko a kobieta nizkonosą. Ja tego przypuszczenia nie mogę przyjąć i uznać za prawdopodobne; jednakże na gruncie ciemnych możliwości niepodobna mi Peliona walić na Ossę i dla ciekawości poprzestaję na odesłaniu czytelnika do „Księgi rodzaju," 6. 2.

Powstanie sztuki.

Powiedziałem, że kto kroczy swą drogą ze spuszczoną głową i stroskaną piersią, dla tego świat jest biedny. Kto w duchu żyje dniem następnym i w niego się wpatruje, dla tego dzisiejsze słońce nie zachodzi i nie znika. Natura nie jest dziewką, która pozwala się pieścić ręką roztargnioną; ona ramiona swoje otwiera tylko temu, kto w zapamiętaniu rzuca się do jej stóp.

Rzadko piękności świata leżą na wierzchu, a te, które podpadają pod zmysły, nie są najszlachetniejszemi. Dla pobieżnego spojrzenia chmury deszczowe są tylko szarymi strzępami, łańcuchy wzgórz pustem sfalowaniem, a drzewa w lesie zieloną jednostajnością. Nieskończona prawidłowość, która, od żyłek na powierzchni liści do granitowych żeber ciał skalnych, bije z każdego tworu i ożywia go pięknością, ujawnia się tylko w duszy mimowolnie wrażliwej.

A jednak najbiedniejsza dusza człowieka uwięzionego tęskni goręcej, niż każda inna za używaniem świata odczuwanego, a bardziej jeszcze, niż dusza, tęsknią zmysły. Więc kto nie odczuwa czystego tchnienia i woni rzeczy, ten potrzebuje mocnych, zmysłowych podniet, surogatów i ekstraktów.

Zaczyna on sztucznie upiększać, zdobić swoje ciało, swoje włosy, swoje sprzęty. To, czego natura nie ma i nie może mieć, jak np. jednostajne, żywe i nieprzemijające zabarwienie, proste linie, doskonałą symetryę, czysty ton i dźwięk, on usiłuje ustalić, trwałem zrobić i posiąść. Chce naturę przewyższyć, być od niej bogatszym i to bogactwo tak ubezpieczyć, żeby się nie roztopiło, nie przekwitło, nie zwietrzało, jak czyste dary nieba i ziemi.

Krok dalej i udaje mu się zawładnąć prostemi, łatwo uchwytnemi prawidłowościami. Własnością jego staje się obrys zwierzęcia, kształt drzewa, harmonijny szereg tonów. I postępuje od prawidłowości pierwotnych do trudniejszych budowy plastycznej: równowagi, ruchu, wyrazu — zdobywa jedną tajemnicę po drugiej. Tak powstaje sztuka.

Dla niefrasobliwego, wolnego ducha wszystko to jest głupstwem. Co jego obchodzą zabawki. Natura w swej zmienności i nieprawidłowości bogatszą jest i wspanialszą, niż wszystkie bawidełka. Czterokrotne, potężne i czarowne zmiany pór roku i jego święte obrazy kwitnienia i dojrzałości, śmierci i zmartwychwstania działają na jego zmysły silniej, niż trwałe kwiaty, zwierzęta i ludzie z kamienia i z gliny. Czemże jest zdobny puhar wobec napełnionego kwiatami? Budowla, choćby jak dwór Salomona pokryta złotemi blachami, jest tylko marnym punkcikiem nad brzegiem wody lub na skraju lasu. Kiedy natura głos swój podnosi, wszystkie twory stają się martwemi bożyszczami. Ale ucho człowieka silnego słyszy jej szumiącą mowę, gdyż wszystkie swe wolne chwile spędza on na przysłuchiwaniu się, obserwowaniu, czuciu i przypominaniu. Czyż niema dziś jeszcze ludzi, którym napróżno usiłujemy wytłomaczyć, że tyleż nabożnej uwagi należy się zabarwionej skorupie na ścianach budynku lub tkaninie płótna, co w rozkwicie stojącemu drzewu, że obrobiony kawał metalu lub rzeźbionego drzewa cenniejszy jest, niż łom skalny lub gałąź drzewa.

(D. n.)

Pouczały o „obrzędach, o „pięciu stosunkach ludzkich,“ „o czci synowskiej (hio) lub wpływach wzajemnych „dwóch pierwiastków świata“ itd. Te suche, jałowe płody scholastyczne pochłonęły całkowicie żywą twórczość myśli korejskiej. Poezya korejska, zanim zdołała rozwinąć się, zwiędła już w uścisku łatwego i powierzchownego wierszoklectwa chińskiego. Na wspomnienie zasługuje zaledwie poemat „Cżio-yj-cżie-bu“, napisany w XV stuleciu przez Kim-dzon-cżika, który dzięki znajdującemu się w poemacie napomknieniu o zgonie króla Tań-dzon (1455 r.), wywołał w 1498 r. prześladowania polityczne. Wszystkie dzieła w owych czasach były pisane po chińsku z wyjątkiem powieści i piosenek ludowych, w których ukryły się i przechowały resztki niezależnej duszy korejskiej. Ale ukształcony Korejczyk wstydził się czytać te rzeczy; były to książki dla kobiet i prostaków. Tę trochę wiedzy przyrodniczej, jaką posiadała mądrość chińska, uprawiał w tym czasie wyłącznie *stan trzeci*; szlachta i urzędnicy nie opuszczali nigdy sfer filozofii i moralności, gdyż one jedynie dawały... stopień naukowy i urząd.

Sztywny biurokratyzm zwolna przenikał urządzenia korejskie, ale zupełny jego tryumf nastąpił dopiero po wojnie Japońskiej.

Dynastya Dzo-sio za przykładem swego założyciela starała się utrzymać zgodę z potężnymi sąsiadami i w tym celu stale opłacała daninę Chinom i Japonii. Ale zaburzenia, jakie wstrząsnęły Japonią w XV i XVI wieku, tak ją osłabiły, że Korea przestaje jej się lękać i w 1460 r. odmawia wysyłania przyjaznych poselstw i daniny. Niepokoje w Japonii kończą się upadkiem rodziny Asikawa i przedsiebiorczy, utalentowany sziogua Hidejoszi poczyna rządzić niepodzielnie państwem „Wschodzącego Słońca“. W lecie 1592 r. wypowiada on niespodzianie wojnę Chinom i przerzuca do Korei ogromną na owe czasy 150,000 wyborową armię, zaopatrzoną nawet w broń ognistą, którą Japończycy wzięli od Portugalczyków. Przyczyny wojny niewiadome [1]). W 18 dni po wylądowaniu w Fuzanie już Seul został przez Japończyków zdobyty. Król uciekł na półwysep Lao-dun, skąd pisał listy błagalne do cesarza chińskiego. W Seulu wodzowie japońscy rozdzielili się: Hato ruszył na północo-wschód, Konisi na północo-zachód i zajął Phion-jan, pierwszorzędną twierdzę korejską, gdzie zatrzymał się, oczekując na poparcie floty, która okrążała z zachodu półwysep, aby dostać się do ujścia rzeki Ta-don-gań. Ale około wyspy Quelpart flota korejska rozbiła flotę japońską i odpędziła ku brzegom Japonii. Tymczasem Chiny, których pierwsze oddziały, wysłane na pomoc Korei, zostały zniesione na pograniczu, podjęły rokowania pokojowe, aby

[1]) Historycy rożnie ją sobie tłomaczą. Źródła korejskie pomawiają Japonię o chęć zawojowania całych Chin, w tym celu miała ona proponować sojusz Korei, ale król Siön-dzo odmówił, uważając ten zamiar za szaleństwo. Griffis widzi w tem zdradziecki pomysł pozbycia się chrześcian, którzy w znacznej liczbie służyli w wojsku. Inni twierdzą, że Hidejoszi chciał przez wojnę zatrudnić swe niespokojne, bitne pułki, które po zwycięženiu wrogów wewnętrznych nie miały co robić. Słowem, jak i obecnie, powodów do wojny przytaczają wiele. Wątpliwą jest jednak rzeczą, aby Japonia marzyła o zdobyciu Chin, których potęga i urok panowały jeszcze wszechwładnie nad nią samą; korejskie tłomaczenie wykazuje jedynie wielką lojalność Korei względem Chin i, nietylko w tym wypadku występującą, chęć zaskarbienia sobie łaski i zaufania dworu chińskiego. Prawdopodobniej, Japonia miała powody obawiać się powtórzenia napaści z lądu, jak w 1266 roku, postanowiła uprzedzić ją i zawładnąć Koreą. Być może, iż trwożył ją wzrost floty korejskiej, grożącej jej rybołówstwu i handlowi, a zawieszenie daniny i poselstw, świadczyło, że szacunek i strach przed nią zanikł na półwyspie.

zyskać na czasie. Jednocześnie pchnęły pod Phion-jań olbrzymią, 200,000 armię. Konisi liczebnie o wiele słabszy cofnął się w nocy ku Seulowi, gdzie połączył się z innymi oddziałami. W zaszłej następnie bitwie, pomimo znacznej liczebnie przewagi i pomocy Korejczyków, Chińczycy zostali na głowę pobici, cofnęli się na północ. Jednakże strata floty wstrzymała pochód Japończyków, cofnęli się więc też na południe, gdzie okopali się w obronnym obozie. W warunkach pokoju, prócz pewnych ustępstw terytoryalnych na wybrzeżach cieśniny Korejskiej, domagał się Hidejoszi, uznania przez Koreę protektoratu Japonii i zupełnej jej równości z Chinami. Otrzymawszy odmowę, kazał wojskom ruszyć znowu w głąb kraju. Po kilku zwycięztwach wojska opanowały Seul, lecz musiały się cofnąć, gdyż flota japońska została powtórnie przez Korejczyków pobita [1]). Ustępując, niszczyli oni po za sobą kraj ogniem i mieczem, ścigająca ich armia chińska nie ustępowała im również w grabieżach. W zgliszczach legły najpiękniejsze okolice półwyspu. Kiön-cżiu, dawna stolica Silli, słynąca ze świątyń, pałaców i starożytnych zabytków architektury i sztuki, padła w gruzach. Wojska japońskie okopały się w Fuzanie i Ul-sanie [2]), gdzie trzymały się przez rok, cierpiąc wielki niedostatek. Ul-sański, korpus uniknął zagłady jedynie dzięki bohaterskiej odsieczy wojsk z pod Fuzanu. Obie armie, zarówno japońska jak i korejsko-chińska, były zbyt wyniszczone długą kampanią, aby mogły stanowczo na siebie natrzeć. Śmierć Hidejoszi w r. 1598 położyła koniec wojnie. Jedyną zdobyczą tej 6-letniej wyprawy było dla Japonii stałe zajęcie Fuzanu i pozostawienie w nim załogi. Wpływ chiński zapanował niepodzielnie w wyniszczonej, zrujnowanej krainie. I chociaż w 1623 na żądanie wnuka potężnego Je-ja su Korea wznowiła swą daninę Japonii, znaczenie ostatniej na półwyspie upadło doszczętnie i odżyło zaledwie w 200 lat później. W 1627 r. w zimie Mandżurowie przebywają po lodzie rzekę Jalu (Amok-kan), znoszą armię chińską i oblegają Seul. Król Iń-dzo uznaje się za wasala Mandżurów, lecz po ich odejściu, zrywa umowę, wywołuje powtórne najście, w czasie którego zwyciężony ucieka wraz z dworem na wyspę Kan-hoa, gdzie już raz dwór korejski szukał schronienia przed Mongołami. Po zawartym pokoju Korea ostatecznie uznaje poddaństwo mandżurskie, daje synów królewskich na zakładników i obiecuje płacić sutą, roczną daninę z ryżu, futer, mat, papieru, płócien, tkanin, żeń-szenia oraz wielu innych rzeczy... Dynastya mandżurska odbiera królom korejskim prawo bicia własnej monety, wtrąca się do rządów i wogóle traktuje Koreę prawie jak prowincyę zawojowaną. Zwolna jednak własne sprawy odciągają uwagę dworu pekińskiego od półwyspu i nieszczęśliwy. obolały kraj zasklepia się w sobie. Państwa ościenne nie przeszkadzają temu, gdyż nastraszone przez Europejczyków, same uprawiać zaczynają politykę odosobnienia.

Rząd korejski opustoszył wybrzeża z ludności, zakazał stosunków z cudzoziemcami

[1]) Według Griffisa flota korejska składała się naówczas z 200 wielkich statków wojennych zwanych „łodzie-smoki“, gdyż miały dzioby rzeźbione i malowane w kształcie rozwartych pysków smoczych. Uzbrojone były w armaty, katapulty i ogromne łuki, wyrzucające strzały na 6 stóp długie i 4 cale grube. Na pokładzie stały baszty, w których chowali się łucznicy i procarze. Trzecia część pokładu była wolna od sprzętów oraz budowli i przeznaczona dla ruchów piechoty i zarzucania haków oraz mostów w razie walki burtą w burtę. Korejczycy przypisują sobie wynalazek tych dwu-pomostowych okrętów, przyjętych następnie przez Chiny i Japonię.

[2]) Miasta nadmorskie na północ od Fuzanu nad zatoką „Cesarzewicza“ i „Dydymowa.“

pod karą śmierci, zamknął szczelnie swe granice z wyjątkiem dwu miast na granicy chińskiej i Fuzanu od strony japońskiej, gdzie odbywały się parę razy do roku jarmarki. Używanie wyrobów cudzoziemskich uważane było za występek godny śmierci, nawet prosta rozmowa rybaków z spotkanymi na morzu obcokrajowcami wywoływała przewlekłe śledztwa i prześladowanie. Cudzoziemiec, pojmany w granicach Korei, płacił za to życiem, a krajowców, co mu dali schronienie, skazywano na wygnanie. Jednocześnie wzbroniono ludowi korejskiemu wszelkiego zbytku, noszenia złotych lub srebrnych upiększeń, jedwabnych oraz wogóle wzorzystych tkanin, budowania domów wygodniejszych i większych, gromadzenia wytwornych przedmiotów... Wszystko w celu zabezpieczenia się od pożądliwości łupieżczych sąsiadów. Wskutek tego upadł do reszty wyrób sprzętów ozdobnych, naczyń cennych, upadły: malarstwo, rzeźba, tkactwo, garncarstwo i większość rzemiosł... Lud wylękły gotów był wyzbyć się wszelkich potrzeb wyższych, byle uniknąć rzezi i pożóg... Ale strach i pokora złe zwykle wydają owoce... Ucisk wewnętrzny potężniał z dnia na dzień. Zchińszczała szlachta, wychowana i zorganizowana w duchu biurokratyzmu wschodniego, straszące cudzoziemcami, zagarniała całkowicie i nieodparcie rządy państwa w swe ręce. Jak pleśń, przenika ona zwolna najdrobniejsze przejawy życia, ssąc z niego soki i pokrywając swe bezprawia obroną starych obyczajów oraz troską o bezpieczeństwo tronu i państwa. Ich solidarność i intrygi sprowadzają do zera znaczenie monarchy, napozór samowładnego, on może jedynie czynić zło i dążyć w kierunku celów urzędniczych. Daremnie rozumny Sind-dzon Uoń-hio (1673—1619 r.) stara się podnieść oświatę ludu, zreformować podatki. Wszystko tonie w wirze partyj szlachecko-urzędniczych (jań-bań). Z dawien dawna istniało współzawodnictwo i nienawiść między jańba-niami ton-iń (wschodnim) pochodzenia cywilnego i siö-iń (zachodnimi) wojennego. Ale za panowania wspomnianego monarchy rozpadli się oni jeszcze na cztery odłamy, zbiorowo nazywana Sasak: 1) Nam-iń (południowi); 2) Puk-iń (północni), 3) No-iń (No-rioń) (starych); 4) Siö-iń (Sio-rioń) (młodych) [1]). Wskutek ich zabiegów ginie, stracony w 85 roku życia, szlachetny doradca króla, uczony Sonsi-riol, filozof i pisarz znakomity, który za życia jeszcze uzyskał przydomek „dza“ (mędrzec).

Od czasu do czasu, w ciągu XVIII stulecia niektórzy monarchowie, popierani przez szlachetniejsze jednostki ze swego otoczenia, przerażeni wybuchającymi wśród ludu rozruchami, usiłują ukrócić bezprawia swych urzędników, złagodzić obyczaje, podnieść dobrobyt ludu. W 1785 r. zostaje ogłoszony uzupełniony „Wielki Zbiór Praw“ (Tä-cżion-thon phiön), oparty na prawodawstwie chińskiem z czasów dynastyi Min, a przedtem jeszcze zniesiono ukazem króla Iön-dzö niektóre kary i tortury, jak piętnowanie rozpalonem żelazem, kruszenie kości, tortury ogniowe... Ale wszystko rozbija się o niechęć urzędników, martwieje w zwojach papierów biurowych. Polip urzędniczy trwa dalej a nawet wzrasta. Z pojawieniem się chrześcianstwa przybywa jeden więcej z powodów do ucisku, szpiegostwa i grabieży. Rozpacz i nienawiść ciemnego ludu, nękanego przez biedę, urzędnicy umiejętnie kierują na wyznawców obcej religii, o wiele lat wyprze-

[1]) Podział powyższy utrzymał się do ostatnich czasów; partye te niby to walczą o zasadę, wciąż mówią o miłości ojczyzny i jej szczęściu, ale w istocie jest to walka o posady, gdyż żadna z nich ani nie ma programu, ani nie różni się w poglądach. (Korean Repository, 1897 r. str. 19—20).

dzając w pomysłach antisemitów europejskich. W 1786 r. o mało nie wybuchła wojna z Chinami z powodu zajęcia przez Chińczyków wysp rybołówczych prowincyi Phiön-ań-do. Wojsko korejskie wyparło ich. W czasie rządów Suń-dzo (1800—1834) wybuchło straszne prześladowanie chrześcian, wywołane współzawodnictwem partyi No-iń z Nam-im. Ostatnia, wśród której było wielu chrześcian, została zniszczona. W 1811 roku wstrząsnęło państwem krwawe powstanie w prowincyi Phiön ańdo, wybuchłe pod wodzą Chön-giön-na „z niewiadomych przyczyn", według doniesień urzędowych. Trwało ono pół roku. W 1846 r. Francya rząda zadość uczynienia za stracenie biskupa Imbert'a i wielu misyonarzy. Wysłana ekspedycya osiada jednak na mieliźnie w morzu Żółtem. Za panowania króla Chöń-dzon Kiö-muń (1834—1849) szczególnym wpływem cieszył się ród Kim, z którego pochodziła królowa-matka i żona królewska: jań-banowie uzyskali nowe przywileje, pozwolono im samowolnie nakładać na chłopów pobory z ryżu i pieniędzy, bezprawia i gwałty dosięgły niebywałych rozmiarów.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Skarbonki dla głodnych.

Urzędownie i prywatnie stwierdzono, że pod naciskiem wojny nasze wiązania przemysłowo-handlowe zaczynają pękać i walić się, przygniatając, jak zwykle, tych, którzy w nich znajdują się najniżej. Dziś może być tylko spór o to, ile tysięcy jest pozbawionych pracy i głodnych, a że tych tysięcy jest dużo i że z każdym tygodniem ilość ich się pomnaża, o tem wszyscy wiemy. A nawet więcej. Wiemy bowiem również, tylko dla powstrzymania trwogi szepczemy sobie na ucho, że to lub owo przedsięwzięcie, ta lub owa fabryka, ten lub ów dom handlowy, mimo pozorów siły, chwieje się i niewątpliwie runie, a „solidny" kupiec lub fabrykant, zduszony niewypłacalnością i zastojem, lada dzień padnie. A między spekulantami rozpoczął się już prawdziwy pomór. Jeden z nich, konając, wołał do swego adwokata:

— Ratuj pan, przecież mój interes jest mocno postawiony...

— E, mój panie — odrzekł obrońca — podczas trzęsienia ziemi rozpadają się potężne zamki, a pan chcesz, ażeby się nie wywróciła wątła kuczka. Co pan zresztą mówisz o interesie mocno postawionym! Merkury ma już tak połamane nogi, że go lada wietrzyk obala.

Wyznaję, że chociaż cierpienia Merkurego są także bólem, mnie dziś wyłącznie obchodzi armia nędzy, rekrutowana przełomem ekonomicznym. Jak ją ratować? Naturalnie pytanie to dotyczy tylko nas samych. Nie będziemy przecie wyciągali rąk do „cywilizowanego świata" i wzruszali jego miłosierdzia. A więc: czy społeczeństwo nasze mogłoby ze swoich zbywających lub zaoszczędzonych środków usunąć lub przynajmniej złagodzić obecny niedostatek mas? Bezwątpienia. Ale jego litość, albo, mówiąc ściślej — poczucie obowiązku nie jest wcale zbiorowo uorganizowane, nie tworzy ognia, lecz drobne, rozproszone iskry. Rozmaite projekty, a najgłośniej odzywa się ten, który radzi nie uczęszczać na zabawy i *te* pieniądze przeznaczyć na chleb głodnym. Przyklasnąłbym szczerze postanowieniu niesprowadzania z zagranicy różnych ssawek naszej kieszeni, wyrzeczenia się zarówno Izadory Duncan i krokodylów, jak Grünfelda i Kocyana; nie wierzę jednak, ażeby *te* pieniądze, które wydajemy na rozrywki, zwróciły się w filantropijne łożysko. Przykład składania ofiar zamiast wieńców pogrzebowych i powinszowań noworocznych nie jest tu przekonywającym, gdyż wieńce i powinszowania nikomu nie sprawiają wielkiej rozkoszy, więc każdy chętnie je zamienia na przyjemność odegrania publicznie tanim kosztem roli dobroczyńcy. Zresztą jest w naszem społeczeństwie, jak w każdem innem, i to w warstwach najzamożniejszych, dość znaczny procent ogniłków i przegniłków moralnych, samolubów, monomanów, nerwowców karmiących się wyłącznie wrażeniami estetycznemi, ludzi zwyrodniałych i wynaturzonych, rozpustników teatru lub muzyki, którzy po za granicami swego egoizmu nic nie widzą, którzy po za drgnieniami pewnych strun swej kalekiej duszy nic nie odczuwają i którzy po za artystologią nic nie rozumieją. Z nich każdy morał tak spłynie, jak woda z ryby. Mając do wyboru między wesołym błaznem cyrkowym a głodnym robotnikiem, zawsze otworzą swą sakiewkę błaznowi. Ale tę czeredę otacza wielka masa, w której spoczywa energia, rozum i uczucia społeczeństwa. Ona powinna wydobyć z siebie zbiorową pomoc dla głodnych przez dobrowolne opodatkowanie się. Nie sądzę, ażeby 5 kop. od rubla, czyli 5% od wszelkich wydatków, na korzyść nędzy było dla kogokolwiek zbyt uciążliwem. Zdaje mi się, że z tego źródła możnaby wyczerpać setki tysięcy — a odtrącając niezasilających go — dziesiątki tysięcy rubli; w każdym razie sumę tak poważną, że ona zaważyłaby na szalach klęski. Zatem kupmy sobie skarbonki i wrzucajmy w nie pięciokopiejkówki, a gdy będą pełne, odnieśmy do Towarzystwa Dobroczynności. Czesi ze skarbonek rozwieszonych po ulicach zbudowali sobie dwa razy teatr narodowy, utworzyli Macierz i inne instytucye; czyż my tym sposobem nie moglibyśmy przekarmić naszych głodnych? Darujcie mi szczerość, szanowni rodacy, ale jeżeli my tej klęsce nie podołamy i pozwolimy dalej umierać biedakom, to jesteśmy takie moralne zdechlaki, że wkrótce wszyscy wyginiemy na gruźlicę serca.

Go -on.

Zjazd socyal-polityków.

Kongres niemieckiego towarzystwa reformy społecznej, złożonego z ludzi, zwanych w potocznej mowie politycznej „socyal-politykami," ponieważ chcą prowadzić „politykę socyalną," politykę reformowania stosunków społecznych przez państwo współczesne, a nie są i nie chcą być i nazywać się — socyal-demokratami, odbył się w ubiegłym miesiącu w Moguncyi. Towarzystwo istnieje od 6 stycznia 1901 r.; na czele jego stoją: baron Berlepsch, b. minister handlu za czasów chwilowego „liberalnego" kursu pod Bismarkiem, oraz prof. E. Francke, redaktor pożytecznego tygodnika *Die Soziale Praxis, Zentralblatt fur Sozial-politik.* Celem towarzystwa jest podług statutu, „za pomocą propagandy słowem i piórem popierać reformę społeczną w zakresie kwestyi robotników najemnych w Niemczech, reformę, za której istotne części składowe Towarzystwo uważa: dalszy rozwój prawodawstwa w interesie warstwy pracującej oraz popieranie jej dążeń do poprawy swego bytu za pomocą stowarzyszeń zawodowych i współdzielczych." Oprócz tego towarzystwo jest sekcyą niemiecką międzynarodowego związku prawnej ochrony pracy, o którego ostatnim zjeździe *Prawda* pisała. Towarzystwo ma obecnie około 1,400 członków (miało 500 początkowo), w tej liczbie pewną ilość dość wpływowych posłów do parlamentu. Charakter jego, raz jeszcze powtarzamy, tem się najlepiej określa, że sam prof. Francke, sekretarz, zaznacza, iż jest ono zwalczane i niechętnie widziane przez silne i wyraźne partye z lewicy i z prawicy, przez socyalistów zarówno, jak konserwatystów, przez wielkie organizacye tak robotników, jak przedsiębiorców, a natomiast cieszy się poparciem organizacyj zawodowych, robotniczych, nie-socyalno-demokratycznych (katolickich, ewangelickich, liberalnych, Hirsch-Dunckerowskich, niemiecko-narodowych itp.). Pod duchowym też patronatem tego towarzystwa reformy społecznej i dzięki zapoznaniu się i zbliżeniu przywódców tych różnych organizacyj, w komitecie towarzystwa odbył się w r. z. w Frankfurcie nad Menem t. zw. „pierwszy niemiecki kongres robotniczy." łączący dość radykalne żądania ekonomiczne i prawne (np. swobody koalicyi) z prawowiernością polityczną (*Reichs- und Kaisertreue*).

Uwagi te były potrzebne dla określenia charakteru zjazdu, co pozwoli właściwie zrozumieć i ocenić jego obrady.

Na porządku dziennym stały tym razem dwie kwestye: izb pracy i stowarzyszeń spożywczych.

Towarzystwo, które zawsze stawia sobie jakiś bardzo określony, bliski i, jak mu się zdaje, łatwy do osiągnięcia cel, obecnie walczy właśnie usilnie o zredukowanie w Niemczech dnia roboczego dla kobiet z 11 godzin do 10 i o założenie przez państwo izb pracy wraz z departamentem lub ministeryum pracy u szczytu. (Dotychczas istnieje, i to od niedawna, od 1902 r., tylko „oddział statystyki robotniczej" przy ces. urzędzie statystycznym, wydający miesięcznik informacyjny „*Reichs-Arbeitsblatt*.) Pierwsza z tych kwestyj była już dostatecznie roztrząsana na poprzednim kongresie; główną jej propagatorką jest inspektorka pracy, p. Helena Simon. O izbach pracy był obecnie referentem prof. Harms z Tybingi. Wywodził on, co następuje:

Wszakże niema już w Niemczech zasadniczych zarzutów przeciw instytucyi ekonomicznego przedstawicielstwa interesów. Udział samych interesowanych w badaniu i określeniu ich interesów jest koniecznym warunkiem racyonalnej polityki gospodarczej. Tymczasem w dotychczasowych instytucyach przedstawicielstwa interesów, jak izby handlowe, rolnicze, rzemieślnicze, interesy pracowników nie mogą być należycie uwzględniane. Jeśli tedy państwo raz już uznaje zasadę przedstawicielstwa interesów, to sprawiedliwość nakazuje utworzyć i osobne izby pracy. Nie mają to być jednak izby wyłącznie robotnicze, lecz mieszane, złożone w równej ilości z przedstawicieli robotników i pracodawców. Wprawdzie w ten sposób pracodawcy będą mieli podwójne przedstawicielstwo ekonomiczne, ponieważ mają je już w izbach handlowych, ale zdaniem p. Harmsa nie byłoby to niesprawiedliwością, gdyż pracodawca ma większą odpowiedzialność w prowadzeniu przedsiębiorstwa. Zresztą, dla samych robotników najważniejszą przecie rzeczą jest — módz zejść się z przedsiębiorcami i wspólnie roztrząsać z nimi sprawy przedsiębiorstwa i swego własnego położenia. W dyskusyi, która toczyła się nad tym punktem, prof. Hitze podkreślił ciekawe zjawisko, że właśnie robotnicy, widocznie dla tych przyczyn, przeważnie żądają izb mieszanych, natomiast wielu przedsiębiorców wolałoby już przedstawicielstwo interesów „czysto-robotnicze", któreby zatem życzenia swe stawiało nie samym

przedsiebiorcom, lecz rządowi, społeczeństwu, opinii publicznej, czyli — często faktycznie wysyłało gdzieś w przestrzeń. Dr. Harms, przeciwnie, w projekcie swym żąda nawet przymusowego udziału przedstawicieli obu stron w posiedzeniach, przymusowego stawienia się fabrykantów i robotników na wezwanie izby pracy w celu zrobienia próby porozumienia się i zgody w razie zatargu, grożącego strajkiem.

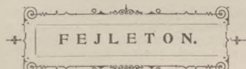
Zadania bowiem izb pracy byłyby głównie takie: wypracowywać i reformować wspólnie, przez fabrykantów i przez robotników w danym fachu przyjęte taryfy płac, jakie np. istnieją już w drukarstwie; przeprowadzać usiłowania zgody i pojednania w razie zatargów fabrycznych; zbierać dane statystyczne i informacye, któreby były przekazywane departamentom pracy krajów poszczególnych i rzeszy dla dalszego opracowania; udzielać rad i opinij gminom i rządom w sprawach, tyczących się stosunków najemniczych, i stawiać samodzielne wnioski w tej dziedzinie. Wszystko to ograniczałoby się tylko do przemysłu; rolnictwo jest pozostawione na stronie — „tymczasem,“ jak mówi referat... socyalni politycy doskonale wiedzą, że jeśli nawet — co też nie jest pewne — rząd zgodzi się na podobny „przewrót“ w przemyśle, to junkrzy nigdy nie pozwolą na wniesienie takich „pierwiastków zepsucia“ do patryarchalnego rolnictwa, gdzie jeszcze batog bywa — na mocy prawa — w robocie.

Drugie i czwarte z wyżej wyliczonych zadań już obecnie wykonywane są przez sądy przemysłowe, których asesorowie są właśnie w równej liczbie wybierani przez przedsiebiorców i robotników, ale których główną czynnością jest sądzić sprawy, wynikające z kontraktu najemnego. Projektodawca chciałby właśnie powyższe czynności oddzielić i oddać je osobnym izbom pracy, które byłyby niezależne od sądów przemysłowych, a wybierane na podstawie powszechnego prawa wyborczego, przysługującego i kobietom z zastosowaniem systemu proporcyonalnego, tak żeby wszystkie odcienie przekonaniowe i prądy, zarówno wśród przedsiebiorców, jak robotników, były reprezentowane; prezesem byłby przez pół roku robotnik, przez pół roku — przedsiebiorca. Ale tu większość zjazdu nie była z nim w zgodzie, lecz z praktycznych względów oświadczała się za tem, żeby już istniejącym sądem przemysłowym dodać nowe atrybucye i przekształcić je w ten sposób na izby pracy. Ma to być łatwiejsze do uzyskania od rządu. Rzecz to ostatecznie dość podrzędnego znaczenia.

Referentem w sprawie stowarzyszeń spożywczych był dr. Riehn. Referat jego miał na celu wykazać wielkie znaczenie stowarzyszeń współdzielczych wogóle dla postępu, nietylko materyalnego, ale duchowego i moralnego klasy pracującej i nawet jeszcze szerszych warstw ludności, a przedewszystkiem — zaprotestować przeciwko prześladowaniu stowarzyszeń spożywczych, wszczętem w ostatnich czasach przez rządy, szczególniej przez pruski, pod wpływem zagrożonego konkurencyą kupiectwa i polityków „zdrowego stanu średniego.“ Prześladowanie wyraża się w tem, że się wywiera jawny lub potajemny nacisk na urzędników rządowych i — za pośrednictwem przedsiebiorców — często też na oficyalistów prywatnych, żeby nie należeli do kooperatyw, a oprócz tego gnębi się kooperatywy różnymi podatkami, których niesprawiedliwość referent wykazywał. Obciąża się dywidendy podatkiem dochodowym, chociaż nie są one dochodem, tylko właściwie oszczędnością; każe się płacić wysokie patenty, choć kooperatywy, wobec surowego zakazu sprzedawania nieczłonkom, nie są właściwie przedsiebiorstwami kupieckiemi itd. Do protestu tego przyłączyło się zgromadzenie prawie jednogłośnie.

Na uwagę zasługuje też przemowa powitalna radcy ministeryalnego Brauna, wysłanego na kongres przez wielko-książący rząd heski, na którego terytoryum zjazd się odbywał. Protestował on stanowczo przeciw dwom głównym argumentom przeciwników nowych reform społecznych w Niemczech, a mianowicie, jakoby dość już zrobiono dla poprawienia bytu klasy pracującej oraz, że w dodatku z jej strony nie można się spodziewać żadnej wdzięczności. Pierwszemu z tych twierdzeń przedstawiciel rządu heskiego poprostu zaprzeczył, co do drugiego, powiedział, że mogłoby ono być słuszne, gdyby za reformy należało się komuś podziękowanie, jak za podarunki. „Lecz my nie chcemy ludowi naszemu robić podarunków; to, co dla niego robimy, jest poprostu zadośćuczynieniem jego prawu, spełniem naszego obowiązku.“

Red.



PAMIĘTNIK

Przyczyny niedoboru.

Sprawa stałego niedoboru rządowych kolei żelaznych wydobyła się znowu na wierzch pod postacią projektu przywrócenia dawnej, wyższej taryfy osobowej. Stwierdzono, że w okresie zniżki cen biletów liczba jadących w klasie 3-ej podwoiła się, w 2-ej wzrosła w czwórnasób, a w 1-ej — półtora raza. Wobec tego wyniku należy powrócić do taryfy poprzedniej dla pokrycia 80 milionów rubli deficytu rocznie. Dlaczego należy dać kontrparę i gdzie rękojmia, że tem cofnięciem się niedobór będzie usunięty— odpowiedzi na to pytanie nie znaleźliśmy. Natomiast znaleźliśmy w prasie rosyjskiej rozmaite tłomaczenia powodów niemożności związania końców w gospodarce kolejowej. Jako przyczyny główne podano: wydatki na urządzenie nowych linij, ogromny rozrost i kosztowność zarządów w dziale kancelaryjnym, popieranie zbytecznymi obstalunkami przemysłu miejscowego itd. Być może, iz wszystkie te względy współdziałają w wytworzeniu deficytu, ale naszem zdaniem główny korzeń złego tkwi gdzieindziej — w samej istocie gospodarki. Cały skład urzędniczy kolei jest przeniknięty tą myślą, że jej nie grozi żadne niebezpieczeństwo materyalne, gdyż cokolwiek się stanie, wszystkie wydatki będą pokryte z kasy państwa, że niepotrzeba wcale starać się o zwiększenie dochodów, lecz o jak największy udział osobisty w rozchodach. Zarząd drogi żelaznej jest to furman, przewożący towary i ludzi; jeżeli więc ten furman ma zapewnione swoje korzyści, nic dba wcale o zarobek. Stąd koleje rządowe — przynajmniej w naszym kraju — zachowują się względem społeczeństwa nie jako przedsiebiorcy, służący za opłatą jego interesom, ale jako biura, które rozdzielają przywileje i sprzedają prawa do używania wagonów. Stąd mamy rozkłady jazdy, urągające najelementarniejszym wygodom, stąd nasze towary, wysyłane za frachtem „pospiesznym,“ potrzebują na przebycie 100 wiorst 7 dni czasu (autentyczne) itd. Dopóki ładunki z Warszawy do Międzyrzecza przewożone będą na furach żydowskich pomimo istnienia linii Terespolskiej; dopóki pasażerowie, wsiadający na przystankach, gdzie niema biletów, pociągani będą do kary za bezpłatną jazdę, dopóki towary i ludzie traktowani będą, jako dokuczliwe natręty, naruszające spokój oficyalistów kolejowych, dopóki wogóle same koleje nie będą dbały o powiększenie swych zarobków a rozmaitemi utrudnieniami zniechęcać będą interesantów — dopóty nie może być mowy o usunięciu niedoboru. Zapewnie jest to prostsze rozwiązanie zagadnienia raz podwyższyć taryfę pasażerską, niż ciągłemi ulepszeniami i codzienną zabiegliwością zwiększać dochód — ale czy owo zagadnienie da się rozwiązać tym prostym sposobem? *h.*

Co się stało?

Chyba na żadną krzywą wierzbę tak kozy nie skakały, jak abonenci telefonów warszawskich na ich zarząd. Kto tylko posiadał aparat a miał za dużo wezbranej żółci, ten ją wylewał w dziennikach. Zwłaszcza zaś kobiety, pracujące na stacyi połączeń, stały przez kilka miesięcy pod gradem złorzeczeń. Nagle... łzawym głosem wyrażono im współczucie za nużące i denerwujące zajęcie. Co się stało, że nastąpiła taka gwałtowna zmiana? A no sprowadziła ją bardzo poważna racya. Towarzystwo telefonów zbudowało sobie własny gmach, ks. Chełmicki gmach ten poświęcił, dyrektor Cedergren pokazał przedstawicielom wszystkie urządzenia, no i... I nic więcej! Śniadania prawdopodobnie nie było, bo w takim razie sąd sprawozdawców o tej uroczystości i telefonistkach wypadłby równie surowo, jak dawniej. Także inne wpływy nie działały. Słowem —„między nimi nic nie było“ — a jednak haubice dziennikarskie, zwrócone przeciw zarządowi telefonów, nagle umilkły. *d.*

Niejawność sądu.

Jeden z wiceprezesów warszawskiego Sądu Okręgowego polecił zamykać drzwi do sali podczas posiedzeń. Adwokaci wystąpili do tejże instytucyi ze skargą na nieprawne według nich rozporządzenie, ale żądanie ich nie zostało uwzględnione, a nawet rozpoznane. Wtedy odwołali się oni do Izby sądowej, która jeszcze tego zatargu nie rozstrzygała. Zasadniczym warunkiem obecnej ustawy jest jawność postępowania sądowego, której — zdaniem adwokatów — nie może znieść „wadliwe urządzenie drzwi,“ co miało być powodem owego ograniczenia. *g.*

Dziesięciolecie „Koła pracy kobiet“.

Dawna „Delegacya,“ przemieniona obecnie na „Koło pracy kobiet,“ obchodzi dziesięciolecie swego pożytecznego istnienia. Na ostatniem posiedzeniu, we wtorek d. 15 b. m., odczytano między innemi sprawozdanie z dotychczasowych dążeń, prac i zabiegów przewodniczek Delegacyi, które i z zawodami spotykały się nieraz. Z początku, pomimo postawienia sobie ekonomicznego tylko celu pomagania kobietom w zdobywaniu wykształcenia fachowego, bez wywieszania sztandarów z bojowemi hasłami emancypacyjnemi, doznała instytucya wielu trudności, niekiedy nawet szyderstwa.

Ustawa pozwala towarzystwu prowadzić działalność organizacyjną, wnioskodawczą, oraz popierać przedsięwzięcia użyteczności ogólnej; Delegacya zatem, uważając, że sprawa należenia kobiet do cechów rzemieślniczych jest jedną z najpilniejszych, już w r. 1894 poczęła starać się o założenie cechu kwiaciarek, a w 1895 — cechu hafciarek, lecz dotąd bezskutecznie. Pomyślniejsze wyniki dały zorganizowane przez Delegacyę niedzielne kursy rysunkowe dla pracownic fachowych. Korzystało z nich w ciągu lat sześciu kilkaset uczennic, zdobywając za minimalną opłatą tak niezbęd-

ną w rękodzielnictwie umiejętność. Obecnie jednak Koło usunęło się od kierownictwa tymi kursami, gdyż zarząd Muzeum zaprowadził w nich różne zmiany, nie zawiadamiając go nawet o nich. Urządziło również ono wieczorne lekcye kroju z opłatą 10 rb. za całą naukę, którą ukończyły dotąd 94 uczennice. Delegacya zorganizowała nadto t. zw. „wakacye pracownic,“ tj. wyjazd ich podczas lata na wieś, gdzie za półdzienną pracę dostawać miały pomieszczenie wraz z utrzymaniem i kosztami drogi. Tutaj niezbędną była czynna pomoc pań wiejskich; znalazło się jednak bardzo niewiele takich, które, rozumiejąc obowiązek społeczny, zgodziły się dać spracowanej i wycieńczonej szwaczce odpoczynek, pożywienie dostateczne i możność odetchnienia powietrzem wiejskiem za kilka godzin pracy. Większość narzekała, że szwaczki jedzą zadużo, a szyją zamało; pracownice zaś skarżyły się na złe obejście z niemi. Były jednak wypadki obustronnego zadowolenia, co pozwala mieć nadzieję, że powoli stosunki te ulegną pożądanej zmianie. Dotąd za pośrednictwem Delegacyi korzystało z wypoczynku letniego do 300 pracownic.

Koło prowadzi biuro informacyjne z zakresu pracy kobiet, udziela rad i wskazówek, nie może jednak dostarczać pracy, czego często wymagają interesantki.

Urządzało ono nieraz wspólne wycieczki i pogadanki, wywołujące żywą a tak pożądaną wymianę myśli. Do istotnych zasług Delegacyi należy niewątpliwie podniesienie i omówienie sprawy prostytucyi na specyalnem posiedzeniu w r. 1900, przy nader licznym udziale publiczności.

Z nowszych projektów Koła zaznaczyć trzeba myśl urządzenia pralni i stołowni współdzielczej. W tym celu przeprowadzono wywiad o żywieniu się pracownic i po informacye, jak urządzone są podobne instytucye, zwrócono się za granicę. Wzmianka w nr. 41 *Prawdy* o położeniu szwaczek i artykuł w *Gońcu* były dla Koła bodźcem do ułożenia świeżo ukończonego kwestyonaryusza o obecnych warunkach pracy kobiet, wysokości wynagrodzenia, potrzebach materyalnych i umysłowych oraz sposobach ich zaspokojenia.

Pomimo trudnych warunków istnienia, pomimo małego zainteresowania się kobiet naszych przedsięwzięciami Koła, nawet z tego pobieżnego przeglądu przekonać się możemy, że przynosi ono istotny pożytek pracownicom i społeczeństwu. Chętny i liczniejszy współudział ogółu kobiet rozumnych, silniej odczuwana przez nie potrzeba łączności i samopomocy zbiorowej, dałyby pracom Koła wyniki lepsze. Miejmy nadzieję, że się to w przyszłości znajdzie powoli. *M. B.*

Miejscowy kryzys ekonomiczny.

W referacie, wygłoszonym na zebraniu ogólnem warsz. oddziału Tow. pop. ros. przemysłu i handlu p. S. A. Kempner, zaznacza przeżywany dziś kryzys ekonomiczny, jako drugi, pierwszy trwał od r. 1899 do 1903 i powstał z przyczyn *wewnętrznych*, wskutek sztucznie wyśrubonej nadprodukcyi, oraz naturalnej (!) nieznajomości stron technicznych przemysłu naszego ludu. Zaledwie kryzys ów znalazł się w ostatnim okresie, gdy powstał obecny, drugi, z przyczyn *zewnętrznych*, *spowodowany przez wojnę*. W skutkach może on być szkodliwszy od poprzedniego.

Wtóry ten kryzys przechodził różne fazy. Na początku było zmniejszenie popytu na towary krajowe w okręgach mobilizowanych. Potem ograniczenia kredytowe. Dalej nowe upadłości, podwyższenie stopy dyskontowej w bankach miejscowych i zagranicznych, spadek akcyj i walorów. Kryzys obejmuje zrazu okrąg przemysłowo-fabryczny łódzki, potem warszawski, wreszcie przestrzeń całego kraju.

Dane cyfrowe p. Kempnera są wymowne. Już w lipcu r. b. 3,000 majstrów cechowych pozostało bez zajęcia, a nienależących do cechów zapewne daleko więcej. Szczególniejszą ofiarą padli Żydzi w wyrobach galanteryjnych. Było ich 4,800 rodzin bez pracy.

W tymże miesiącu inspekcya fabryczna zawiadamia ogół o zwolnioniu 2,500 robotników fabrycznych.

W Kaliszu koronkarstwo skrócono o 25%, w gub. Piotrkowskiej 4,000 robotników z fabryk wydalono, połowa fabryk zmniejszyła produkcyę. To samo miało miejsce w 50 fabrykach warszawskich.

Wogóle, p. Kempner naliczył od maja do czerwca 300,000 osób pozbawionych pracy, w tej zaś liczbie 200,000 robotników fabrycznych, co stanowi 30%.

Przeszedłszy wszystkie gałęzie wytwórczości miejscowej, objętej kryzysem, z normalnym obrotem 750,000,000, rb. stwierdza on jej zmniejszenie o 260,000,000 rb.

Same przędzalnie okręgu łódzkiego skróciły wyrób do 30%, w tymże stosunku sukiennictwo, przemysł żelazny i kopalnie węgla. Fabryki maszyn stoją. Obstalunki dla armii czynnej stanowią kroplę w morzu, nie pokrywając nawet częściowo strat poniesionych przez wojnę.

Stan ogólny, pogorszony przez mobilizacyę, utrudnia — według słów p. Kempnera — szczególna niesolidność pewnych sfer handlowych, która we wszystkiem znajduje obfite źródło do nadużyć.

Od smutnych cyfr i smutniejszych faktów przeszedłszy do obmyślenia środków zapobiegawczych, zaznaczył mówca inicyatywę wyrobienia kredytów w Banku państwa, projekt syndykatu wszelkich instytucyj kredytowych, krajowych dla zapewnienia rzemiosłu 10% kredytu, jak również syndykatu celem wywozu łódzkich wyrobów za granicę. Niewiadomem jest powodzenie tych projektów, ale położenie z dnia na dzień staje się gorszem. Im zaś dłużej trwać będzie wojna, tembardziej przez kryzys poderwane zostaną ostoje ekonomiczne kraju. Reasumując wszystko, p. K. wnosi, że racyonalnym środkiem polepszenia sytuacyi byłaby jedynie *chęć jak najszybszego ukończenia wojny.*

Debaty nad referatem streściły się w postanowieniu, nadania wytwórczości rdzennej — kierunku miejscowego, czyli zaspakajającego przedewszystkiem potrzeby krajowe, gdyż dzisiejsza wytwórczość słabo uwzględnia popyt krajowy, wskutek czego dowóz zagraniczny sięga 59,000,000 rb. rocznie. Przemysł miejscowy, oraz gubernij wewnętrznych Cesarstwa, jako obliczony li tylko na sfery zamożne, jest niedostępny dla włościan z powodu drożyzny wyrobów. c.

BADANIA NAUKOWE.

Władysław Łoziński:

„Prawem i lewem.“

Bardzo mało jest u nas dzieł historycznych, któreby miały takie znaczenie, jak książka p. Władysława Łozińskiego.

Słówko o autorze.

Władysław Łoziński, to jeden z najwytworniejszych umysłów współczesnych.

Doskonały znawca kultury naszej przeszłości, umie łączyć zmysł, metodę i sumienność historyka z umiejętnością ugrupowania i artystycznego obrobienia faktów. Sam znawca i zbieracz dzieł sztuki w wielkim stylu, ma wszystkie dane po temu, aby z pod jego pióra wychodziły żywe i plastyczne obrazy obyczajowości i dawnego życia: Potomek szlachty, wyrosłej z gleby czerwonoruskiej, zespolił wyobraźnię i trud swój artystyczny z ową ziemią, nieustannie prawie dręczoną walką bratobójczą, pełną mogił, krzyżów i grodów warownych, świadków niezmierzonego morza pracy ludzkiej, włożonej w zagospodarowanie i obronienie tej kresowej ziemi Rzeczypospolitej.

Cały różnobarwny i różnojęzyczny świat Ormian, Greków, Żydów i Rusinów, który złożył się na kulturę Lwowa XV, XVI i XVII wieku, znalazł doskonałego opisywacza w Władysławie Łozińskim. Dzieła: „Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie,“ „Sztuka lwowska XVI i XVII wieku,“ „Epilog złotnictwa ormiańskiego we Lwowie,“ to książki pierwszorzędnej wartości historycznej i artystycznej.

Nic dziw, że dzieło „Prawem i lewem“ wywołało również wielkie zainteresowanie. Obecne jego wydanie (drugie) w metodzie przerasta znacznie wartość pierwszego, materyał z natury jednostronny i ciemny, bo zaczerpnięty niejako z ówczesnej registratury karnej, dopełnia obrazami kulturalnej pracy pozytywnej, której śladami są grody i zamki, budowle monumentalne oraz pamięć ludzi o cnotach obywatelskich niepośledniej miary, jak np. hetman Żółkiewski.

W ten sposób przez umiejętne i sumienne zgromadzenie cieniów i świateł wydobywa autor z czasów opisywanych plastykę życia: typy bujne, nieokiełznane, mimo całej potworności swych czynów, stają się psychologicznie zrozumiałe i wytłomaczone na tle czasów i społeczeństwa tej ziemi ruskiej, przeoranej wszerz i wzdłuż napadami Tatarów, Węgrów, Wołochów, gdzie pierwiastki starosłowiańskiej anarchii gminnej żyły u miejscowej szlachty i ludu w wieku XVII jeszcze wyraźnie, gdzie obyczaj zachodni cienką warstwą ledwo powlekał ludzi z natury dobrych, ale dzikich, w dzikszych jeszcze czasach żyjących. Tymczasem siła dośrodkowa, jaką bezwątpienia była dla tych żywiołów Rzeczpospolita, to siła prawie tylko moralna, niemająca w swoich dłoniach cienia władzy rzeczywistej. Materyał zebrany przez p. Łozińskiego wykazuje dowodnie, jak właściwie po za tą wiązką praw politycznych, które przez sejmiki szły aż do sejmu koronnego i króla, po za prawodawstwem cywilnem i karnem, którego mało kto się bał, a nikt nie stosował, po za prawami innemi dla szlachty, innemi dla mieszczaństwa, jeszcze innemi dla chłopów w królewszczyznach i tych „poddanych,“ dla których jedynem prawem była już tylko dowolność pana, szlachcica — nie było nic, coby wypływało z samej władzy państwowej Rzeczypospolitej XVII wieku.

Majestat jej to jedynie urok moralny, który obowiązuje nawet i największego łotra ówczesnych czasów. Nawet taki zdrajca prawdopodobnie, a napewno rokoszanin i warchoł bez czci i charakteru, jak Jan Szczęsny Herburt i Stanisław Stadnicki, dyabeł łańcucki, nawet ci, którzy współczesnym ludziom mniejszych znacznie skrupułów moralnych, niż dzisiejsi, wydawali się z piekła rodem, nawet i ci wiecznie mają na ustach dobro i korzyść owej mitycznej Rzeczypospolitej, wiszącej niejako w powietrzu, niewyraźnej a jednak dla wszystkich widocznej.

Cóż dopiero mówić o takich, jak hetman Żółkiewski, któremu służba dla Rzeczypospolitej, służba wierna i nieoglądająca się za nagrodą, była jedynem prawem

Słuszną zupełnie jest uwaga p. Łozińskiego, że w Polsce wieku XVII więcej znaczył człowiek, niż instytucya. Bezrząd szlachecki łagodził jedynie charakter wybitniejszych obywateli. Samem swojem istnieniem hamowali oni zawiść i zaciętość

rywalizujących i walczących z sobą udzielnych królewiąt szlacheckich.

Dawne bowiem gminowładztwo słowiańskie w tem się przejawiało, że pan, jako jednostka gminowładcza, był właściwie udzielnym panem w swojej gromadzie poddanych, panem własności, życia i śmierci.

Cała ewolucya od równości do absolutyzmu dokonała się tu właściwie w łonie gminy, tak że Polska wieku XVII była ogromnem zbiorowiskiem małych królestw prawie zupełnie samowładnych, których stosunki wzajemne słabo regulowało ustawodawstwo państwowe Rzeczypospolitej. Bez tej fikcyi „dobrowolnej zmowy" wszystkich szlachciców w Polsce, jako królów wioskowych, niemożliwe jest zrozumienie jednomyślności obowiązkowej i prawa „liberum veto" ówczesnych sejmów i sejmików polskich.

Książkę p. Łozińskiego wypełnia obraz tych układów dyplomatycznych, sojuszów, wojen, podstępów wzajemnych, których tłem była ziemia ruska i stosunki wzajemne, „graniczne" ówczesnych potentatów jedno, dwu i wielowioskowych.

I oto, na tle tych rabunków, wypraw i wojen sąsiedzkich, nieraz krwawych i kosztownych, maluje się charakter wewnętrzny Polaka na Rusi owych czasów, którego karykaturą, potwornym nawet dla wieku ówczesnego wyrazem był Dyabeł łańcucki.

Jemu też, jako syntezie ówczesnego warcholstwa, rozpasania, braku wszelkich węzdzideł moralnych wewnętrznych i zewnętrznych poświęcił p. Łoziński sporo miejsca w drugim tomie. I co jest najdziwniejsze w tych anarchistycznych obwiesiach polskich, że nie kieruje nimi, jak słusznie to zaznacza Łoziński, uwielbienie zła i czynienie złego dla samego zła, przeciwnie, niema w nich żadnej demoniczności. Trochę autorytetu i władzy, a z tych rozpasanych wilków drapieżnych robią się potulne baranki, gotowe do wszystkich upokorzeń, dopóki nad nimi wisi bat.

Taki Herburt i Stadnicki pod wpływem ladajakiego nacisku odwołują, odszczekują i łaszą się wobec tego samego króla, którego publicznie za nic mieli, jeśli tylko ukaże się w zanadrzu porządkującą pięść królewskiej egzekutywy wojennej.

Z tego wniosek, że można było okiełznać owe żywioły szlacheckie autorytetem władzy, że mimo całego warcholstwa twardych naprawdę natur jest niewiele, a żelaznych i niewzruszonych mężów zna Polska tylko w typach dobrych i szlachetnych.

Bujnym naturom szlacheckim, nierozumiejącym granic prawa, jako moralności, tylko miecz władzy królewskiej, państwowej mógł nakreślać linie poszanowania. Tymczasem Rzeczpospolita, w której źrenicą złotej wolności była niczem prawie nieograniczona swoboda szlachcica, nie wydobyła z siebie żadnej siły dośrodkowej. Nie był nią król, bezsilny nawet wtedy, kiedy miał najlepszą wolę służyć państwu, nie było mieszczaństwo nieliczne, ograniczone, częściowo jeszcze cudzoziemskie i cudzoziemskiemi prawami się rządzące. Nie był też chłop, nawet ten bliższy Beskidu, który przechowywał stare tradycye samorządu słowiańskiego; najlepiej może jeszcze wiedział chłop z królewszczyzny o opiekunie swoim królu w Warszawie, którego dłoń słaba rzadko go osłaniała przed nadużyciami starostów i podstarościch. Natomiast nieszczęsna dusza niewolnicza, przywiązana do wsi pańskiej, była już niczem dla Rzeczypospolitej, więc i Rzeczpospolita niczem dla niego a wszystkiem pan, ów samowładca wioskowy. A jednak książka p. Łozińskiego pokazuje jasno, jak na dłoni, czem mógłby być mieszczanin i chłop dla Polski.

Nawet z tych aktów zapylonych wylania się potężne, porządkujące ramię mieszczańskiego Lwowa na Rusi. Nawet najbutniejszemu szlachcicowi rzednie mina i pokornieje głos w obrębie donośności dział miejskich. Te łyki lwowskie umieją nakazać taki respekt dla siebie, że szlachta ze Lwowem, jak z udzielnem mocarstwem, zawiera przymierza i konfederacye.

Ale Lwów niestety był tylko jeden.

P. Władysław Łoziński nie waha się również oddać najwyższej pochwały cnocie żołnierskiej prostego ludu polskiego.

Ten lud niewyczerpany w swej dobroci i cierpliwości, który umiał ogromnemi ofiarami bronić często resztek praw swoich, ten lud jako żołnierz stawał się niezrównanym w XVII wieku.

Kiedy pod Parkanami cała szlachta odbieżała Jana III, rajtar, chłop polski uratował go od niechybnej śmierci.

Te ciury i pachołki zapisali się w historyi niejednym czynem, którego by się nie powstydził rycerz bez zmazy i skazy.

Jaka potężna a zmarnowana siła tkwiła w tych masach chłopskich, domyślał się Batory, tworząc szeregi piechoty łanowej...

Książka p. Łozińskiego pokazuje te wszystkie drogi, jakiemi się tyle sił bujnych w szlachcie i w ludzie zmarnowało, zjadło i zniszczyło we wzajemnych walkach, rabunkach, rozpasaniach i bijatykach.

A jednak mimo wszystko ta siła moralna, płynąca z Mazowsza, z Warszawy, z dworu królewskiego, z życia umysłowego i obyczajowego, z miast Małopolski i Wielkopolski, nie ginęła bez śladu, rozlewając się u stóp Karpat i jarów podolskich. Gdyby nie ta promieniująca siła kultury, która nakazywała w sztuce, w budownictwie i obyczajach skłaniać głowę ku zachodowi polskiemu, nieby nie ostało po dziś dzień z polskiego języka i wpływów na wsiach i w grodach Rusi Czerwonej. Nic, prócz wspomnień i to niezawsze, niestety, pełnych chwały i dumy narodowej.

Takim jest miąższ cennej książki p. Władysława Łozińskiego.

Kazimierz Mokłowski.

NOTATKI NAUKOWE.

Rocznika instytutu socyologicznego (Annales de l'Institut International de Sociologie) ukazał się tom X. Zawiera on rozprawy V-go kongresu tegoż instytutu na temat stosunków między psychologią a socyologią. W rozprawach tych udział wzięli: Lester F. Ward, Gabryel Tarde (na krótko przed zgonem), Eug. de Roberty, R. de la Grasserie, E. Levasseur, A. Espinas, L. Manouvrier, M. Kowalewski, E. Delbet, K. Kelles-Krauz, F. Tönnies, John S. Mackenzie, M. Karejew, M. Abrikossow, Wł. Lessewicz, Combes de Lestrad, F. Puglia, Limousin i R. Worms; wszystkich ich referaty i mowy są w roczniku wydrukowane.

Tom X jest ostatnim pierwszej seryi tego wydawnictwa. Dotąd ukazywało się ono co rok (nakładem Giarda i Brière'a); odtąd wychodzić będzie tylko po każdym kongresie instytutu i zawierać wyłącznie sprawozdania z kongresów. Kongresy te nie odbywają się co rok, lecz co dwa albo trzy lata.

Instytut poniósł w ostatnich czasach wiele strat. H. Spencer nie był jego członkiem, przecież sekretarz R. Worms poświęca mu gorące wspomnienie, jako „powszechnie uznanemu za pierwszego wśród socyologów naszych czasów." Ciekawe jest, dlaczego Spencer nie był członkiem stowarzyszenia socyologów. Przy założeniu instytutu proponowano mu przystąpienie i prezydyum na pierwszy (1893—4) rok. Ale odmówił—uzasadniając odmowę tem, że *zasadniczo* nie należy do żadnych stowarzyszeń i zasadniczo nie przyjmuje żadnych odznaczeń. Istotnie, nie przyjmował też proponowanych mu miejsc zaszczytnych w różnych akademiach i wysokich orderów. Objawiały się obie strony mieszczańskiego indywidualisty...

Z członków instytutu zmarli w ciągu r. 1903 i 1904: Paweł von Lilienfeld-Toal, znany jako jeden z twórców teoryi organizmu społecznego, której poświęcił wielotomowe dzieła w języku niemieckim, pojmując ją jak najdosłowniej, posuwając analogię do granic ostatecznych i najdrobniejszych szczegółów; był on zresztą przez 17 lat gubernatorem kurlandzkim, a później, do końca życia, członkiem Senatu rządzącego w Petersburgu. Dalej, zmarł wybitny prawnik portugalski, Tavares de Medeiros, profesor uniwersytetu w Koimbrze; Schaeffle, Tarde, wreszcie Michajłowskij, który właśnie na r. b. był wybrany jednym z wiceprezesów. Z członków drugiej kategoryi (associés) zmarli: książę Teniszew, fundator nagrody konkursowej 5,000 fr. za najlepsze dzieło o rewolucyach społecznych, jeszcze nie danej, oraz Borys Minzes, prof. szkoły wyższej w Sofii.

Natomiast przybyło paru nowych członków: znakomity mówca i deputowany belgijski, Emil Vandervelde, profesor uniwersytetu w Jassach, wybitny historyk rumuński A. D. Xenopol, oraz jako *associés*: Wł. Lessewicz, prof. wyższej, rosyjskiej szkoły nauk społecznych w Paryżu, i Włoch, Eug. Rignano, autor dzieła „Un socialisme en harmonie avec la doctrine économique libérale."

Obecnie instytut socyologiczny międzynarodowy ma 92 członków (liczba maksimalna oznaczona jest na stu) i 44 associés. Prezesem jego jest Edward B. Tylor, sekretarzem dr. R. Worms (w Paryżu, 115 boul. St. Germain).

LITERATURA I SZTUKA.

Stefan George.

—3—

Wśród młodej literatury niemieckiej sporo wrzawy i hałasu czyniła grupa zwolenników tak zwanych kierunków nowych. Byli to przeważnie literaci poczynający, którzy dość śmiało, jak na Niemców, zerwali z tradycyą Gartenlaubów, usiłując pchnąć poezyę na nowe tory, a właściwiej mówiąc, stworzyć, bo różne fabrykaty ówczesne, nic z nią wspólnego nie miały. Ruch ten miał chwile silnego napięcia i, zdziaławszy swoje, rozwiał się, to znaczy, stał się również uznaną, panującą teoryą. Z dawnych bojowników większość nie ujawniła zbyt wielkiego talentu, uległa wpływom średniomieszczańskiej płytkości i szlafrokowej „gemüthlichkeit." Typowym przykładem jest Bierbaum i cały ruch überbrettli.

Hasłem ogólnem było — cofnięcie się w głębię duszy własnej i szukanie w niej nowych natchnień—hasło ogólne całej dzisiejszej twórczości. Przy wejściu w życie prąd ten rozdwoił się: większość poszła za pierwiastkiem, który krytycy „modernistyczni" nazywają germańskim. Tu rzeczą główną jest siła — pierwotna, brutalna siła, dążenie do tego, aby wypowiedzieć się jak najszybciej, jak najgoręcej wyrzucić z siebie uczucie, rodzące się słowo i, jak najbliżej do tak zwanej prawdy zewnętrznej, szukać ucieleśnienia swoich pragnień artystycznych. Ci poeci piszą pod wpływem namiętności, szaleją, milkną, nigdy nie pozbywając się pewnej szorstkiej twardości.

Obok tego głośnego prądu pojawili się inni, którzy mniejszą nadają wagę popędom wybuchowym a wysuwają na pierwszy plan rozwagę artystyczną i kunszt tworzenia. Ten typ uosabia w sobie Stefan George.

Pierwszym jego zbiorkiem był tomik p. t. „Fibel," gdzie on występuje jako epigon klasycyzmu. Własny swój rodzaj znalazł poeta w następnym tomie: „Hymnen, Pilgerfahrten, Algabel." Wydał on jeszcze: „Die Bücher der Hirten und Preisgedichte," „Das Jahr der Seele" i „Der Teppich des Lebens."

Stefan George jest w Niemczech znany i ceniony, lecz nie należy do uwielbianych. Mówią, piszą o nim sporo, odczuwają go mało. Jest przybyszem obcym, kwiatem przesadzonym sztucznem zrządzeniem losu na grunt niemiecki, echem cudzoziemskiej kultury.

Zewnętrzna szata utworów jego zbliża poetę do parnasistów francuskich; różni go od nich głębsza treść, poświęcona wyłącznie odrębnemu zakątkowi duszy ludzkiej. Treścią tą byłby on blizki Rodenbachowi, gdyby nie specyalnie chłodno-marmurowy charakter twórczości i wstrzemięźliwość artystyczna, odróżniające go od piewcy Bruges.

George'go cechuje przedewszystkiem spokój zewnętrzny. Nie należy brać tego wyrazu w znaczeniu apatyi, obezwładnienia itd. Nie — jest to wyłącznie opanowanie wolą wszystkiego, co poeta mówi, zrównoważenie ducha, który przemawia tylko pod jedną postacią. George pisał sporo na temat Hellady, jego ujęcie świata starożytnego jest niezwykle indywidualne, bierze on z niego tylko elegię—wycieńczenie subtelne i owładnięcie wyrazem twarzy. Na tej tkaninie snuje poeta własne swe wzory. Kultura jego to kwiat cieplarniany, obojętny na żywezą, wyrazistszą namiętność, obcy wszelkiemu ruchowi, wszelkiej gwałtowności, to wykwit pokolenia zamierającego. W tem znaczeniu można powiedzieć, że S. George — to ostatni Grek (jeżeli weźmiemy końcową epokę kultury greckiej).

Poeta nie czuje wstrętu, ani niechęci do tłumu, ale jest daleko od niego, czuje się zupełnie mu obcym. „Skryłem się od ludzi w krainę marzeń moich... mówiłem tylko z gwiazdy i obłokiem." Wsparł się na kolumnie białego marmuru i przez kratę swego ogrodu patrzy na świat. Wie on, że ból istnieje, czuje go nawet często, tylko— ból ten przyćmiewa lekka zasłona refleksyi. Myślą, tym ulotnym a silą w swojej rozlewności mającym orężem, obejmuje poeta wszystko.

Cała poezya George'go nosi cechę wytwornego intelektualizmu. Treścią jej jest ludzkie „ja," zindywidualizowane w duszy poety. Miał on niegdyś dni swe złe i ucho jego pełne było ostrych tonów. Doszedłszy brzegu, gdzie niema pociechy, ujrzał nadpływającą łódź, wsiadł w nią, podążył na fali ku — krainom piękna. Burze szalały, wiatr wył, rwał żagle, później — nastała cisza. Tamto było przeszłością, to — teraźniejszością w pięknie, obcem tamtym wzruszeniom. Na „nowym" brzegu dusza poety nie pożąda goręcej, nie pragnie jaskrawiej, żyje wzrastającem przeczuciem nieskończoności. Kochanka jego to nie kobieta pożądana, śniona, to myśl ubrana w zwoje mgły, tęsknota ucieleśniona; budują oni w swem rozmarzeniu królestwo słońca, gdzie radość oświetla pola i gaje.

Przez to Stefan George pokrewny jest z Moreau; w twórczości jego wiele momentów przypomina obrazy z ulicy La Rochefoucauld. Te dusze są sobie bratnie wędrówką po zaświatach, gdzie słońce radosne, jasne łąki i cisza — cisza...

Poezya George'go jest jako cicha pieśń, monotonnie, lecz z głębią nucąca szeptem o bycie i niebycie. Jak już wspomniałem, cechuje ją pewna oziębłość. Nie da się nigdy poeta unieść gorętszemu porywowi, świadoma siebie powaga nigdy go nie opuszcza. Zawsze on wie, co czuje, zawsze myśl ma przewagę nad całością ducha. Mowa jego jest niezmiernie powściągliwa, każde słowo umiejętnie dobrane. Pisze George mało, lecz wszystko, co wydał, ma swój wyraz, swoje piękno; każdy wiersz to misternie zbudowane dzieło sztuki, to rzeźbiony wyrób złotniczy B. Celliniego.

Całość jego utworów, to wyczulona i powściągliwie arystokratyczna twórczość człowieka, który wiele wie, wiele czuje i tem jest obcy tłumowi, kipiącemu drobnemi sprawami. Na istnienie innych lira jego jest niemą; czułą jest ona wyłącznie na dźwięk najgłębszej, to znaczy najmniej znanej, najmniej typowej, najmniej głośnej strony ducha. Wszystko podług jego słów w przedmowie do „Jahr der Seele" przechodzi proces dziejowej zmiany, wszystko podlega przeobrażeniu przez sztukę. Ten odrębnego rodzaju arystokratyzm wyróżnia go z pośród innych pustelników ducha. Twórczość poety nie wchłania wszystkich głosów, jakie do niej dochodzą, lecz bacznie wybiera, oddziela to, co duch jego przeobraża w piękno, wszystko inne odrzuca, jako łupinę, niegodną jego spojrzenia lub rzecz absolutnie mu obcą. Tę jego powściągliwość upodobnić można marmurom z czasów ateńskich. Nie płoną one, nie wybuchają, mają w sobie dziwny spokój; znać tu nietylko rękę artysty, lecz i jego świadomość. To go wyodrębnia od kultury współczesnej i to go z nią łączy.

W tem leży przyczyna, że poezya George'go nie porywa. Lecz piękno przejawia się różnemi drogami. Dziś przewagę ma mowa cicha, budząca ciche szmery—i dlatego poezya George'go jest tak współczesną. Niema w niej ognia, jest siła skupienia i świadomy chłód artysty-dziecięcia późnej cywilizacyi. Zrównoważenie i miara artystyczna — to są owe „wady," które George'mu wyrzucają wielbiciele tak zwanego pierwiastku germańskiego.

Chcąc zsumować pogląd na twórczość tego poety, stajemy wobec zadania trudnego; niełatwo ująć ją w pewne cechy charakterystyczne. Nie ubiega się on za nową mową, nie usiłuje pchnąć poezyi na nowe tory. Dawne środki w zupełności mu wystarczają. A jednak jest to artysta wielce dbały o kunszt tworzenia. Za pomocą słów prostych, rytmu niewyszukanego, wywołuje on może niezbyt na razie silne, lecz istotnie artystyczne wrażenie. Pewna jednostronność nadaje mu specyalny wyraz. Refleksyjność i obcość wszelkim poruszeniom żywszym, to podkład całej jego organizacyi artystycznej. Należy on do tych, którzy mając kult dla uczuć wybranych, nie wychodzą po za nie, nie dlatego aby byli obojętni lub zamarli, lecz że ich organizacya psychiczna jest niepodatną dla wszelkich wpływów bezpośrednich. Zamknięci w sobie, pochłonięci są ci artyści odgłosami własnego ducha wyczulonego i głęboko różniczkującego odcienia, uczucia i myśli. Chłodni, powściągliwi, o wysokiej kulturze, wysokiej świadomości artystycznej, przebywają w oddalonym zakątku zaczarowanego ogrodu, nie czując żadnych pragnień, namiętniejszych pożądań i żyjąc myślą artystyczną, lecz tylko myślą.

Zbigniew Brodzki.

NOWE KSIĄŻKI.

— Dr. H. Nusbaum: **Pamięć**, jej znaczenie w umysłowości i etyce (str. 67). Jest to wykład nietylko naukowy, ale ogrzany gorącem uczuciem, które nigdy nie opuszcza autora we wszelkich jego wystąpieniach piśmienniczych. Określiwszy wielostronny udział pamięci w umysłowości naszej, powiada w końcu:

„Pamięć jest czynnikiem świadomości naszej, bogactwa naszej wiedzy, pamięć rozprzestrzenia ducha naszego na obszary czasu, w których życie nasze jest tylko jedną chwilką, pamięć rozprzestrzenia ducha naszego po za krańce przestrzeni, do których sięga moc zmysłów naszych, a w której jesteśmy iskrą tylko, pamięć jest czynnikiem jedności duchowej naszej, warunkiem szlachectwa i dostojności ducha naszego; prawda, pamięć smaga nas nieraz boleśnie, ale wieńczy czoło ludzkości gwiazdą geniuszu, a gdy tak jest, doprawdy, że okupuje ona stokrotnie cierpienia, których bywa w nas zaczynem."

— Ignacy Radliński: **Prorocy hebrajscy** wobec krytyki i dziejów (str. 209). Jest to praca gruntowna i samodzielna. Czytamy w niej:

„Baczne oko proroków dojrzało ucisk i nędzę klas niższych, łzy ich i niedolę. Natchnione słowa karciły łupieztwo możnych, przekupstwo i zdzierstwo sędziów, lichwę i rozboje dokonywane pieniędzmi przez kapitalistów, zatwardziałość serca na nędzę ludzką w zamilowanych we fraszkach, rozkoszy i zbytkach niewiastach. A w dziejach ludzkości bezwątpienia pierwszy to był głos podniesiony w obronie tych, którzy w niedoli byli wyzyskiwani, dla korzyści innych na dół spychani, dla bezpieczeństwa ich w tym dole zapobiegliwie trzymani.

A gdy nastały ciężkie dla ich narodu czasy, według ich pojęcia, dni słusznej kary, więc chociaż niejedni strasznych rzeczy stawali się naocznymi świadkami — jak łupiezki zdobywca niby powódź kraj zalewał cały, niby ogień niszczył wszystko, niby uragan druzgotał i ścierał; chociaż oni widzieli, jak tysiące rodzin, ludność setek wsi i miast nieprzyjaciel w odległe gdzieś kraje ku północy i wschodowi, nad Eufrat i Tygrys porywał, a niektórzy nawet wśród porwanych tych sami się znajdowali; chociaż do siedlisk opuszczonych przez tych porwanych, do wyludnionych przez się miejscowości wstrętne im bo obce, wstrętne, bo nędzne i plugawe, bo niewolnicze i rozbestwione butą zwycięzców, zgraje wiernych sobie a usłużnych napędzał, oni głosili, że Jahwe nie przestał być sprawiedliwym.

Gdy w ich oczach gwarne niegdyś zebrania ludu wróg skinieniem ręki porozpędzał, przestrachem do niewolniczego zmuszał milczenia; gdy deptał progi świątyń, ołtarze ozdabiał swemi godłami; gdy wszędzie się wciskał, by plugawić zetknięciem się z sobą, zarażać obcowaniem i pastwić się nad niemocą; gdy nawet zasiadający na sędziów ławie urągali się sprawiedliwości a przewrotnymi wyrokami nawet pojęcie słuszności w duszach jednostek zacierali — prorocy powtarzali tylko, czekajmy, Jahwe żyje.

To pojęcie wiecznej, jak sam Jahwe, sprawiedliwości, wyższej nad czyny ludzkie i regulującej te czyny, kazało im wierzyć w odrodzenie swego narodu. Tylko to odrodzenie otworzyć mogło ludziom nową erę, rozpocząć wiek złoty."

— Aleksander Kraushar: **Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk** (str. 498).

Jest to tom VI a księga trzecia tej imponującej monografii, obejmująca czasy królestwa kongresowego w czteroleciu przedostatniem (1824—1828). Tekst ozdobiony jest wieloma ciekawemi ilustracyami, kopiami pamiątkowych rycin historycznych. Praca Kraushara między innymi dowodami przekonywa, jak dalece Towarzystwo przyjaciół nauk nietylko zgarnęło do swego grona prawie wszystkie znakomitości w kraju, ale nadto starało się je przyciągnąć z zagranicy. W porównaniu z niem obecna Akademia krakowska wygląda bardzo smorgońsko.



NA MARGINESIE.

Środki użyzniające ziemię coraz większego w rolnictwie nabierają znaczenia. Dostarczają one roślinie tego pożywienia, którego w gruncie nie znajduje ona w dostatecznej ilości. Dotychczas posługiwano się w tym celu fosfatami oraz innemi substancyami, od pewnego czasu jednak w Stanach Zjednoczonych, a szczególniej w Massachusetts, zastąpiono je nawozem, przygotowanym z ryb niejadalnych, a między innemi z *menhaden*, znajdowanych w olbrzymiej ilości $^1/_3$ wszystkich ryb poławianych w Ameryce Północnej. Rocznie łapią ich około 800 milionów — z tej masy 99% idzie do fabryk, gdzie przez suszenie zamieniają się w nawóz. Z chwilą zrozumienia rzeczywistej wartości tego środka użyzniającego zużytkowanie odpadków i resztek targowych stało się przedmiotem badań bardzo starannych, budząc do życia nową gałąź przemysłu, znaczne korzyści przynoszącego.

Katalizą nazywamy, jak wiadomo, wpływ pewnych ciał na skład chemiczny innych, bez uprzedniej zmiany w ich stanie. Zjawiska katalityczne nie są dotąd naukowo dostatecznie wyjaśnione i niektórzy chemicy, jak Regnault, uważają je nawet za należące do dziedziny metafizyki. Aby położyć koniec tej niepewności, profesor Van 't Hoff, znana powaga w świecie naukowym, przeznaczył nagrodę 1,500 fr. dla tego, kto przedstawi najlepszy referat o objawach katalitycznych. Prace mają sądzić: Van't Hoff, Arrhenius i Ostwald — nadsyłać je należy przed 30 czerwca 1905 r. do redakcyi *Zeitschrift fur physikalische Chemie*, 2 Linnestrasse, Lipsk.

Salon jesienny w Paryżu. Urządzony po raz pierwszy w roku zeszłym Salon d'Automne w Paryżu zaczyna na seryo współzawodniczyć z tradycyjnemi, wielkiemi wystawami wiosennemi. Tylko co zamknięty tegoroczny Salon jesienny, według dość jednogłośnych odezw krytyki paryskiej, doskonale się udał, był bardzo urozmaicony a nieprzeładowany i cieszył się dużem powodzeniem wśród publiczności i artystów. Oddzielne sale dla wystaw zbiorowych swych dzieł miel mieli zmarli: Puvis de Chavannes i Toulouze-Lautrec, oraz żyjący P. Cezanne, A. Legros, Odilon Redon i rzeźbiarz książę P. Trubeckoj.

Katalog wystawy wykazuje dość znaczną liczbę nazwisk polskich. Obok znanych już na naszej niwie artystycznej Wł. Ślewińskiego, Jana Styki, L. Kaufmana, L. Girszberga, L. Pilichowskiego, spotykamy jeszcze nazwiska B. Bujki, L. Gotlieba, G. Gwozdeckiego, E. Żaka, A. Markowicza, A. Chorotynowskiego i Izy Daniłowicz. W dziale rzeźby wystawili Gruberski, A. Lepla, Wł. Mazur, w dziale sztuki graficznej — Józef Pankiewicz i Ignacy Łopieński.

P. E.

Z PRASY.

— Wobec rozmaitych i często fantastycznych domniemań w przedmiocie polityki nowego ministra spraw wewnętrznych, zasługuje na poznanie widocznie dobrze poinformowany głos ks. Meszczerskiego. W nr. 87 *Graždanina* czytamy:

„Władza nieograniczona, monarsza (samodierżawije) jest w Rosyi jedynem źródłem swobody i prawa; autokratyzm jest wyłączną, istotną i skuteczną obroną swobody, praw oraz osoby każdego przeciw zamachom na nie biurokracyi oraz demokratycznej samowoli; władza nieograniczona monarsza jest jedyną drogą, prowadzącą do doskonalenia się państwowego oraz zapewnienia istotnego szczęścia narodowi; autokratyzm jest jedyną rękojmią porządku, bez którego istnieć nie może zarówno swoboda i dobro narodu, jak nienaruszalność praw. Oto hasło *Graždanina.* Nie uległo ono zmianom nigdy.

Czuję się w obowiązku wyjątkowo dobitnie i głośno wypowiedzieć je dziś w dobie panującego zamieszania w umysłach, dziś pod koniec roku, ponieważ wyrozumiewam z wielu oznak oraz z wielu dochodzących mnie wieści, że wstępujemy w okres życia społecznego, gdy jedni do tego stopnia zbici są z tropu, iż nie rozumieją wręcz, dokąd dążymy, ani czem odróżniają się drogi i cele nowego ministra spraw wewnętrznych od dróg i celów jego poprzednika, inni zaś oparcie upatrują w słowach nowego ministra (które poprzedziły jego działalność) jakąś zapowiedź zasadniczej reformy ustroju państwowego.

Najstarszy organ prasy petersburskiej, konserwatywnej nie może inaczej odpowiedzieć i jednym i drugim, jak tylko opierając się silnie na wyżej przytoczonem haśle.

Powtarzam przeto to, od czegom zaczął: *zasadniczo, w istocie swojej*, rządy księcia Światopołk-Mirskiego nie mogą *niczem* różnić się od rządów jego poprzednika; może on tylko różnić się od byłego ministra sposobem obejścia, będącym odbiciem się jego osobistych poglądów i przekonań w zakresie stosunku do instytucyj i ludzi.

Żaden przeto gubernator nie może wyobrażać sobie, że mogą uledz zmianie chociażby na jotę wymagania Monarsze w dziedzinie władzy ogólno-państwowej, stawiane mu w imię porządku oraz bezpieczeństwa wszystkich i każdego z osobna. Żaden Rosyanin wierzyć nie może pogłoskom i roztrząsaniom o reformie, w jakimbądź kształcie, systemu państwowego."

— W nr. 297 *St. Pet. Wied.* czytamy:

„Dr. Vernicke, b. profesor wydz: prawnego w uniwersytecie tokijskim, taką daje o Japonii opinię:

„Japonia jest krajem bezwarunkowo kulturalnym; przekonałem się o tem zarówno w stolicy, jak i na prowincyi. Niepodobna równać jej z Turcyą, Chinami itd.

To państwo konstytucyjne i w Azyi przodownicze. Niema tam biurokratyzmu policyjnego, niema samowoli władz.

Prawa ludzkie i obywatelskie Japończyka są nienaruszalne. Każdemu wolno żyć, myśleć i wierzyć według przekonania i upodobań. Swoboda słowa, prasy, ruchliwy temperament umożliwiają mu zupełny rozwój zdolności naturalnych. Legalność, obowiązkowość, oto zasady japońskie. Urzędnicy nie znają tam łapówek. Zresztą ten objaw niemożliwy jest wobec wolności słowa i prasy. Analfabetów prawie niema, etyka oparta na wierzeniach Konfucyusza i Buddy, czyni naród moralnie zdrowym.

Zewnętrznie, uderza ich grzeczność, uprzejmość, wypływające z zasad etycznych. Poszanowanie ojców, starszych, przełożonych pochodzi z czci przodków. Zarzut niesamodzielności, braku iskry twórczej jest niesłuszny. Zresztą, jak dotychczas, wszystko czerpią z Europy, lecz nie ulepszają; pracowici są uporczywie, energiczni, czynni. Obce im słowiańskie: „jakoś to będzie." Typem Japończyka jest osobnik wymustrowany, lecz nie z pruska, tylko moralnie. Przy wielkiej mocy ducha japońskiego, dr. Vernicke rokuje krainie Wschodzącego Słońca świetną przyszłość."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Kur. Warsz.* donosi, że zmarły w Baku inżynier górniczy, Witold Zglenicki, między innymi legatami zapisał po 15,000 rb. jednorazowo i 2,000 rb. rocznie dla każdego z miast gubernialnych w Królestwie Polskiem na założenie i utrzymanie szkół rzemieślniczo-artystycznych; Kasie Mianowskiego połowę dochodu ze swych posiadłości ziemskich w pow. Bukińskim; reszta zaś majątku, jaka pozostanie po spieniężeniu niektórych posiadłości i praw osobistych zmarłego ma utworzyć fundusz na nagrody w rodzaju Nobla, za wsławione w Europie dzieła nauki, sztuki i literatury.

— Zarządzający akcyzą w gub. Saratowskiej wzywa studentów, kończących jakikolwiek wydział w uniwersytecie warszawskim, do przyjęcia posad młodszych, etatowych kontrolerów akcyzy, z pensyą 1,050 rb. rocznie.

— L. Tołstoj (syn) założył w Petersburgu księgarnię pod nazwa „Dobre dzieło", ażeby „rozpowszechniać tanie a dobre książki, jako najskuteczniejsze i potężne środki oświaty i uzdrowienia społeczeństwa rosyjskiego, a zwłaszcza ludu."

— Stowarzyszenia „Sokołów" w Niemczech uznano za polityczne, skutkiem tego wszelkie ich zebrania nadzorowane będą przez policyę.

Szkoły i wychowanie. Dziekan wydziału prawnego uniwersytetu warszawskiego zawiadamia, że w jego rozporządzeniu znajdują się następujące stypendya: Dwa po 180 z zapisu Konstancyi Gieysztorowej dla studentów, urodzonych w b. gub. Augustowskiej, posiadających z egzaminów przejściowych stopień ogólny przynajmniej bardzo dobry (4), a ze sprawowania celujący; dwa po rb. 100 imienia Symforyanny Krassowskiej, wyznaczane przez brata zapisodawczyni, Marcelego hr. Sołtyka, lub w razie jego śmierci, przez rodzinę Gordonów; jedno imienia Lessera w sumie rb. 50 dla studenta I kursu, który ukończył jedno z gimnazyów warszawskich.

— Zatwierdzona została ustawa sześcioklasowej szkoły handlowej w Kaliszu, która ma powstać z funduszów publicznych i z zasiłków zarządu miejskiego.

— W *Kur. Warsz.* czytamy: Przesilenie obecne daje się we znaki właścicielom i właścicielkom szkółek kilkoklasowych, do których uczęszczają dzieci rodziców niezamożnych, albowiem z powodu ciężkich czasów wiele osób nie posyła dzieci wcale do szkół płatnych, a po za tem liczni rodzice, mający dzieci w szkołach, nie są w możności uiszczać należności, którą zwykle w tego rodzaju szkółkach płaci się zdołu. W Warszawie podobno szerzy się nędza szczególnie wśród właścicieli szkółek izraelskich. Ucierpieli zwłaszcza t. zw. „mełamedzi," mający chedery prywatne. Wielu z nich zwraca się o pomoc do Towarzystw dobroczynnych, lecz spotyka ich odmowa, ponieważ nie są... robotnikami, pozbawionymi pracy.

— Do uniwersytetu w Tomsku przyjęto wszystkich kandydatów Żydów, bez względu na oznaczony stosunek procentowy.

Wiadomości naukowe. Na konkursie, ogłoszonym przez Stowarzyszenie techników, z inicyatywy p. F. Kucharzewskiego, na prace z zakresu słownictwa technicznego polskiego, przyznano dwie nagrody równorzędne po 150 rb.: p. Adamowi Trojanowskiemu za „Słowniczek przędzalniczy" i p. Bolesławowi Kamieńskiemu za pracę p. t. „Wyrazy techniczne w walcownictwie żelaza używane."

Literatura i prasa. *Gwieździe* bytomskiej wytoczono proces za artykuł, wzywający rodziców polskich do rozmawiania z dziećmi wyłącznie w języku ojczystym. Niedawno pismo to skazane było na 300 marek kary za „podburzanie do gwałtów."

Ze sztuki. Dnia 19 b. m. w Towarzystwie Zachęty otworzono wystawę obrazów Wyczółkowskiego.

— W Salonie Krywulta mamy wystawę pod nazwą „Dwór polski".

— Dnia 15 listopada nastąpiło w Krakowie otwarcie wystawy ceramicznej wyrobów polskich i obcych.

Sprawy ekonomiczne. Wydział ekonomii rolnej przystąpił do obmyślenia środków podniesienia przemysłu tkackiego w Królestwie Polskiem, w tem przekonaniu, że to powstrzyma ludność wiejską od wychodztwa na zarobek do Prus.

Zmarli. Jan Lubo, nowelista i dziennikarz, w Nowo-Święcianach, pod Wilnem.

— Salomon Kohn, powieściopisarz niemiecki, w Pradze czeskiej.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Gnatowskiemu w Zakopanem. Wysyłek za zaliczeniem za granicę poczta nie przyjmuje.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 11 Ноября 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.